

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

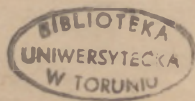
ZESZYT 3

JULIAN TUWIM
KAROL ESTREICHER
CZESŁAW MIŁOSZ
JANUSZ MEISSNER
ITZIK MANGER
ANTONI SŁONIMSKI
JANINA KONARSKA
STEFAN THEMERSON
ALEKSANDER BRAMSON
WANDA MELCER
JAN DĄBROWSKI

LONDYN

MARZEC

1946



Millions of faces feel
ON TOP OF THE WORLD
THIS MORNING

Thanks to the
SOFTENING
SMOOTHING
SOOTHING
LATHER OF



1/6 & 2/6 Including Tax

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

NALEŻY OBECNIE ZAO-
PIEKOWAĆ SIĘ FUTRAMI

VANÉK jest największym mistrzem w przerabianiu, czyszczeniu i przechowywaniu futer wszelkiego rodzaju. Robota pierwszej klasy. Wynagrodzenie umiarkowane.

Zgłaszaj się pod

4, WILLIAM STREET,
Knightsbridge, London, S. W.

również w BOURNEMOUTH.

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.

59 Knightsbridge, London S.W.1

Tel.: SLOanc 3626

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

SPIS RZECZY

	Str.
ALEKSANDER PUSZKIN — <i>Eugeniusz Oniegin (przekład Juliana Tuwima)</i> ..	129—135
KAROL ESTREICHER — <i>Zmiany</i>	135—144
CZESŁAW MIŁOSZ — <i>Wiersze</i>	145—146
JANUSZ MEISSNER — <i>Na afrykańskim szlaku</i>	146—160
(Porucznik Herbert)	
ITZIK MANGER — <i>Na drodze stało drzewo (przekład Antoniego Słonimskiego)</i>	161
JANINA KONARSKA — <i>Rysunek</i>	161
STEFAN THEMERSON — <i>Bayannus</i>	162—171
ALEKSANDER BRAMSON — <i>Pierwsza sesja Zjednoczonych Narodów</i>	171—178
WANDA MELCER — <i>Szczęcin, Wiosna 1945</i>	178—185
JAN DĄBROWSKI — <i>Stanisław Kutrzeba</i>	185—192

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 3

LONDYN

M A R Z E C

1946

ALEKSANDER PUSZKIN

EUGENIUSZ ONIEGIN

Przeład Juliana Tuwima

O, rus! (Horacy)
To Ruś!

ROZDZIAŁ II

I.

Zaciszna wioska, gdzie się nudził,
Był to przedziwnie piękny kąć.
Kto spokój lubi i odludzie,
Mógł niebo błogosławić stąd.
Nad rzeczką stał na zboczu stromy,
Od wiatrów górą odgradzony,
Dom wielkopański. W dali, w dół,
Widniały niskie chaty siół;
Pastwiska, stada, bujne lany
Mieniły się mozaiką barw.
Ogromny, zapuszczony park,
Przytułek Dryad zadumanych,
Szeroko cienie wokół siał
I w dni upalne chłodem wiał.

II.

Dwór zbudowany był na modłę
Tradycji mądrej: trwały mur,
Solidne wszystko i czcigodne,
Dla innych zamków istny wzór;
Wysokich komnat amfilada,
Portrety dziada i pradziada,
Kaflowe piece w tonach pstrych,
Obicia ścian... Lecz cały blichtr
Już o tym czasie mocno spłowił.
Czemu tak było, nie wiem sam...
To tylko wiem, że nowy pan
Tym stanem niezbyt się przejmował.
Śród modnych sal, czy starych sal,
Jednaki spleen. Więc mały żal.

III.

Wziął sobie pokój, gdzie hreczkosiej
 Pocziwy, wiejski żywot wiódł,
 Pół wieku beształ swą gospozię
 I, w oknie stercząc, muchy gniótl.
 Podłoga dębem wykładana,
 Dwie szafy, stół i otomana —
 To wszystko. Ani śladu ksiąg,
 Ni plamki z atramentu wkrąg,
 A w szafach — kwity i agenda,
 Gąsiorów, dzbanów cały skład
 I stary, sprzed piętnastu lat,
 Skarbiec praktycznych rad, kalendarz,
 Jedyna książka, którą wuj
 Czasami karmił umysł swój.

IV.

Sam jeden pośród pól i lasów,
 Znudzony idylliczną wsią
 Oniegin dla zabicia czasu
 Reformy zaprowadzać jął.
 Samotny mędrzec na swej ziemi,
 Pańszczyzny starej jarzmo zmienił
 Na skromny czynsz — i dawny rab
 Swą dolę błogostawi, rad.
 Nadął się na to sąsiad skąpy,
 Dostrzegłszy w tem straszliwe zło,
 Drugi uśmiechnął się: „No, no...”
 I poszła wieść we wszystkie kąty,
 Że sąsiad bzik, by prawdę rzec,
 I że się go należy strzec.

V.

Z początku licznych gości miewał,
 Lecz wkrótce, ledwo turkot bryk
 Na szosie z dali go dobiegał,
 Oniegin się ulatniał w mig:
 Dońskiego żrebca siodłać kazał
 I zmykał z domu. Stąd obraza
 I wnet obywatelska brać
 Zerwała z nim, przestała znać.
 „Dziwaczy sąsiad nasz, fiksuje!
 „Farmazon! Gbur! Widział to kto,
 „Szkłankami samo pić bordeaux?
 „On damom rączek nie całuje!
 „I ciągle tylko *tak i nie*,
 „A *panie dobrodziej*u gdzie?”

VI.

W tym czasie inny dziedzic młody
 Odwiedził swój rodzinny kąć
 I też sąsiadom dał powody,
 By pójść pod ich surowy sąd.
 Nazywał się Władimir Lenskij,
 Był duszy iście göttingeńskiej,

A przytem piękny, w kwiecie sił,
Czcil Kanta i poetą był.
Przywiózł ze sobą z Niemiec mglistych
Plon uczoności: stosy dzieł,
Żarliwą duszę, pełną mgieł,
Wolnego ducha płomień czysty,
Entuzjazm wieczny, drżący głos
I w długich puklach kruczy włos.

VII.

Rozpusta świata chłodem swoim
Nie ścięła jeszcze uczuć w nim.
Ciepłem czułości duszę poił
I wierzył przyjaciółom swym.
Naiwny, sercem prostak miły,
Żył, śniąc; nadzieje go żywiły,
A świata nowy blask i gwar
Dla myśli miały świeży czar.
Rozterkę serca, smutku moment
Marzeniem płoszył; życia sens
Daleko widział, jak przez mgłę,
Zagadką, pełną dziwnych ponęt,
Rozmyślał nad nią całe dnie
I cuda podejrzewał w niej.

VIII.

Wierzył, że kędyś bliźnia dusza
Musi się złączyć z nim — i trwa
Tęskniąca, smutna; że w katuszach
Upragnionego czeka dnia;
Wierzył, że druh wypróbowany
Za druha da się skuć w kajdany,
Że się nie cofnie jego dłoń,
Oszczercy wytrącając broń;
Że są gdzieś, losem przeznaczeni,
Wybrańcy-przyjaciele, ród
Co świeci, jak słoneczny wschód,
Blaskami niezwyczężonemi,
Ród wieczny, święty, przyjdzie czas,
Że szczęściem opromieni nas.

IX.

Współczucie, dobra ukochanie,
Oburzonego serca gniew
I słodkie sławy pożądanie
Już wcześniej w nim burzyły krew.
Z lirą się w drogę swą wybierał...
Niebo Göthego i Schillera
Wzniecilo w nim poezji żar,
I płomień duszy, bogów dar,
Wysokim Muzom ofiarował.
Szczęśliwy! nie zawstydzil ich.
Na zawsze w dumnych pieśniach swych
Uczucia wzniosłe zaczarował:
Prostoty godnej rzewny wdziek,
Dziewicze sny i czysty dźwięk.

X.

Wsluchany w miłość, miłość śpiewał
 I jasna była jego pieśń,
 Jak myśli prostodusznych dziewoj,
 Jak błogi niemowlęcia sen,
 Jak księżyc, bóstwo czułych westchnień,
 W pustyni nieba, hen, bezkresnej;
 Rozłąkę śpiewał, smutek, żal
 I mgliste coś i mglistą dal
 I romantycznych róż piękności;
 Opiewał kraj, co w dali mży,
 Gdzie długo żywe jego lzy
 Wpływały w łono samotności;
 Śpiewał wyblakły życia kwiat...
 Miał wtedy osiemnaście lat.

XI.

Któż inny w tym zaścianku wiejskim
 Ocenic mógł poetę, prócz
 Oniégina? Więc stronił Lenskij
 Od swych sąsiadów i od uczt.
 Unikał rozmów ich odwiecznych,
 Rozsądnych zawsze i statecznych,
 O żniwach, o familii swej,
 O winie, o hodowli psiej.
 Rzecz oczywista, że w tem wszystkim
 Nie było myśli ani krzty,
 Ni ducha, ni dowcipu skry,
 Ani ogłady towarzyskiej,
 A dyskurs ich uroczych żon
 Miał jeszcze mniej dodatnich stron.

XII.

O pięknym i bogatym Leńskim
 Słuch poszedł (jak to na wsi), że
 W zamiarach przybył tu małżeńskich.
 Każdy mu córkę oddać chce,
 Choć mówią o nim: półrosjanin.
 Ledwo gdzie wejdzie, wnet się na nim
 Uwaga skupia, już jest plan,
 Już gani się bezżenny stan,
 Do samowaru gościa proszą,
 Dunia częstuje. Szeptce ktoś:
 „Uwaga, Duniu, bo ten gość”...
 Gitarę potem jej przynoszą
 I Dunia — och! — zaczyna wyć:
 „W mój trzem złocisty wnijdź, o wnijdź!”

XIII.

Lecz on, nie dbając o rodzinę,
 Myśli o jarzmie nie mógł znieść.
 Zaciekawiony Onieginem,
 Zapragnął bliżej się z nim zejść.
 Tak się też stało. Lód i płomień,
 Wiersze i proza, mrok i promień

Różnią się między sobą mniej.
Z początku, dla obcości swej,
Nudzili się — lecz polubili.
Codzień do siebie muszą wpaść,
Pojeździć konno... Wreszcie zaś
Poprostu nierozłączni byli.
Tak ludzi — kaję się i ja —
Bezczynność do przyjaźni pcha.

XIV.

Ale i tej przyjaźni teraz
Nie znajdziesz, czytelniku cny!
Inni — to dla nas same zera,
Jedynki zaś — to tylko my.
Napoleona każdy kroi,
Gotowiśmy dla celów swoich
Po drodze zmieść dwunogów ród,
Szydzymy z uczuć, kpimy z cnót.
Oniegin — sprawiedliwy będę —
Znał oczywiście sferę swą
I choć naogół gardził nią,
Był jeszcze znośny pod tym względem:
Dla uczuć skryty podziw miał,
A pewnych ludzi serjo brał.

XV.

Leńskiego słów z uśmiechem słuchał;
Natchionych jego zwierzeń tok,
Niepewny sąd, rozterki ducha
I wiecznie palający wzrok —
Wszystko mu było dziwnie nowe.
Oniegin nie chciał trzeźwym słowem
Uniesień poetyckich psuć,
I myślał: poco miałbym truć
Te chwile błogie, zapal świeży?
Sam zbudzi się pewnego dnia.
Tymczasem niechaj w złudzie trwa
I w doskonałość świata wierzy.
Wybaczymy młody żar i czad
Zapalczywości młodych lat.

XVI.

W rozmowach i dyskusjach wiecznych
Zglębiali każdą rzecz do dna:
Minionych plemion ład społeczny,
Problemy nauk, dobra, zła,
Pradawne bytu zagadnienia,
Przesady stare, cel istnienia,
Życie za grobem — wszystko to
W dysputach pod rozwagę szło.
Czasami w potok słów burzliwy
Poeta włączał nowy ton:
Natchnioną pieśń z północnych stron,
Więc Eugenjusz pobłażliwy
Uszami pilnie musiał strzyc,
Bo nie rozumiał nic a nic.

XVII.

Lecz namiętności — te najczęściej
 Odludków zaprzętały myśl.
 Oniegin zwalczył je na szczęście,
 Lecz o ich władzy mówił dziś
 Z westchnieniem żalu mimowolnym.
 Szczęśliwy, kto im był powolny,
 A potem umiał żyć, jak mnich.
 Szczęśliwszy ten, kto nie znał ich,
 Ten, kto rozłąką miłość studził,
 Wrogość — obmową; albo mąż,
 Co z żoną widząc druha wciąż,
 Nie znał zazdrości, lecz się nudził,
 A to, co nagromadził dziad,
 Do banku, nie do puli kładł.

XVIII.

Gdy przybijemy do przystani
 Rozsądnych i statecznych dni,
 Już ze swym losem pojednani,
 Bez ognia dawnych pasji w krwi;
 Gdy już nas śmieszą ich zapędy
 I zew spóźniony, nieogłędny, —
 My, nie bez trudu cisi już,
 Lubimy język cudzych burz
 I namiętności niespokojnych.
 Tak stary inwalida-zuch
 Wyteęza przytępiony słuch,
 Gdy młody wąsał, prosto z wojny,
 W ustronnej chacie siadłszy z nim,
 Wspomina bitew grom i dym.

XIX.

Taksamo młodość gorejąca
 Nie skryje, co jej w duszy gra:
 Nienawiść, miłość, smutek, żądza;
 Co w sercu — na języku ma.
 Oniegin, uczuć inwalida
 (Bo sam się sobie takim wydał),
 Słuchając, ważną minę miał.
 Poeta ze wzruszenia drżał,
 Sumienia szczerą snując spowiedź.
 Obnażał przed nim duszy rdzeń
 I jasna stała się, jak dzień,
 Miłości młodej prosta powieść:
 Stara jak świat, bez żadnych zmian,
 Pieśń serca, znana wszystkim nam.

XX.

Ach, kochał duszą swą szaloną,
 Jak dzisiaj nikt nie kocha już,
 Jak jednej tylko jej sądzono
 Śród wszystkich na tym świecie dusz.
 Jeden ideał i marzenie,
 Zawsze to samo zachwycenie,

Wszędzie ten sam tęsknoty zew!
I ani wdzięki innych dziew,
Ni dal, co koi i ochładza,
Ani rozłąki długi czas,
Ni obce ziemie, pełne kras,
Ni muzy i nauki władza,
Nic nie zmieniło duszy w nim.
Jeden mu lśnił promienny nimb.

d.c.n.

KAROL ESTREICHER

Z M I A N Y

II.

— No proszę, proszę po tylu latach się spotykamy!

W głosie dygnitarza brzmiała nuta serdeczna, niepozabawiona odcienia tryumfu. Tak przynajmniej wyczuła Chrobberska.

— Tyle zmieniło się od czasów kijowskich! Przyszłam do pana ministra po radę i pomoc.

— Służę najchętniej, zwłaszcza że już wiem w jakiej sprawie, bo Adam mi zapowiedział.

Chciał w ten sposób zaznaczyć swe bliskie stosunki z Ankwiczem. Panna Chrobberska replikowała:

— Ah! zacny pan Adam, każdemu pragnie dopomóc...

Minister nie dał za wygraną. Tryumf przyjmowania swej dalekiej kuzynki, która kiedyś wraz z całą rodziną zerwała z nim stosunki, chciał przedłużyć, a zarazem chciał przypomnieć swe pokrewieństwo, chciał zaznaczyć że należy do jej sfery.

— Więc zanim przystąpimy do sprawy zapytam o rodzinę. Ma pani wiadomości od Alfredów?

Aleksander Włyński sekretarz Ministra Spraw Zagranicznych a uprzednio poseł w Madrycie mógł istotnie tryumfować widząc u siebie przedstawicielkę swej rodziny. Włyński (Boh) był w 1905 roku głośnym rewolucjonistą w Kijowie, który przynosił wstyd rodzicom, ciotkom, wujom i sprawiał im niemało zgrzyot. Zorganizował w majątku rodziców strajk rolny wywołał skandal podpisując ojca na wekslach (i to dla zdobycia pieniędzy na rewolucję!) rozwoził bibułę, aż wreszcie wpadł. Za spiski i bezbożne zachowanie się skazano go na trzy lata ciężkiego więzienia i dziesięć zesłania, z którego uciekł do Krakowa, gdzie nadal spiskował i miotał się po wiecach studenckich i robotniczych. W 1912 roku wyjechał do Szwajcarii „bo go już i w Galicji mieli dość”. W czasach swej młodości Chrobberska razem z rodziną i okolicznym obywatelstwem uważała działalność Włyńskiego za bezwstydną, nihilistyczną, wywrotową. Aż nagle przyszła wojna, świat przewrócił się do góry nogami i pokazało się że Oleś postawił na dobrego konia. Nagle Chrobberska dowiedziała się że Włyński, dawny socjalista i nihilista, to wysoce zasłużony bojownik niepodległościowy polski. Wpływy jego urosły, a jako znającego języki powołano go do dyplomacji. Nagle Chrobberska musiała przyznać się do kuzyna i zapomnieć co mówiono o nim w rodzinie. Prezes Ankwicz nawiązał z Włyńskim dobre stosunki. Więc i Chrobberska nie mogła odmówić mu swego uznania. Postanowiła tylko że skoro spotka Włyńskiego nie będzie z nim po imieniu, zwłaszcza że był żonaty z osobą nie ze swej sfery. „Elle n'est pas bien” — myślała Chrobberska idąc na spotkanie z kuzynem. Stara panna wiedziała, że w salonach Warszawy, w poselst-

wach i na balach, Włyński był popularny i lubiany. Przeszłość rewolucyjna dodała mu aureoli. Był dowcipny, zawsze dobrze ubrany, łatwy w rozmowie. Rzucał paradoksy i dowcipne powiedzonka powtarzane potem po kawiarniach. Dowcipami pokrywał swą niewiedzę, brak wykształcenia, brak zasad. Naprawdę nie umiał nic, bo tylko rzekomo studiował na uniwersytecie fizykę.

Uchodził za doskonałego dyplomatę w urzędzie gdzie ceniono wygodę i estetykę życia. Bawiąc się dyplomacją odrabiał to czego nie umiał w młodości. Nie raziło nikogo że był leniwy, bo dyplomata nie powinien wykazywać inicjatywy. Ponieważ grał świetnie w karty nie dziwiono się, że prznosił partie bridża w ambasadzie brytyjskiej lub francuskiej nad załatwienie depez w biurze.

Wyznanie polityczne rzucił dawno, podczas wojny w Genewie, gdy wysłany tam jako agent dyplomatyczny krakowskiego N.K.N. doszedł do wniosku, że najlepszą metodą polityczną i dyplomatyczną jest kokietowanie przeciwników, tym silniejsze im bardziej bliscy są przyjscia do władzy. Stąd wcześniej nawiązał przyjaźń z Ankwiczem.

Teraz kuzynka jego Chrobberska siedziała przed nim w wygodnym fotelu ministerialnego gabinetu, prowadząc rozmowę o wspólnych krewnych co żyli lub co zmarli, niecierpliwa by przejść do sprawy, lecz nie pokazująca tego po sobie. A on trzymał ją, wytrzymywał, ciesząc się najwidoczniej sytuacją jaka zaszła. Postarzał się, posiwiał, ale wyglądał zdrowo i silnie. Mówił z humorem o przeszłych czasach, życzliwie wymiawiając zmarłe ciotki i wujów, używając zwrotów charakterystycznych dla języka ludzi z towarzystwa. „Kochany”, „zacny”, „biedny”, — to były przymiotniki które kładł przed imionami osób o których rozmawiał, podkreślając tonem swój stosunek do nich: lekceważenia, protekcji, uznania. Nie bez ironii wspominał czasy kijowskie, chcąc podkreślić, że miał kiedyś rację walcząc ze sferą, z której wyszedł.

— Wyszedł, lecz chce do nas należeć — myślała Chrobberska i nabrała pewności, że sprawę załatwi.

Rozmowa zesłała na Wojniłowiczów i Wierzchówkę i na rodziców Stasia. I wreszcie panna Iza mogła rozpocząć sprawę.

— Młody Staś skończył prawo, mówi obcymi językami, jest zdolny i inteligentny, chciałby wstąpić do dyplomacji i służyć krajowi. Finansowo jest niezależny, tak że w służbie dyplomatycznej mógłby się przydać i wybić. W dzisiejszych czasach tak mało jest młodzieży, która by nadawała się do dyplomacji. Nasza służba dyplomatyczna składa się... no przecież nie potrzebuję kuzynowi tłumaczyć — kończyła swoje Chrobberska.

Włyński na to czekał. Na tę formę przyznania się do pokrewieństwa i do sfery, przez osobę która kiedyś wyrzekła się go i wykleła. Wiedział że kosztowało to Chrobberską by przyjść do niego a jeszcze więcej żeby przed nim przyznać się do pokrewieństwa.

Ona zaś trafnie odgadła kim był i kim stał się z powrotem. Odszedł od idei pasjonujących go kiedyś, z chwilą gdy zaznał wygody życia, gdy otrzymał stanowisko, tytuły, gdy posunął się tak daleko w hierarchii urzędniczej że czuł iż rządzi. Program jaki kiedyś wyznawał to była doktryna i teoria, życie miało swe wymagania. Walka z rodziną a przez to porzucenie własnej sfery kosztowało go bardzo drogo, zostawiło trwały ślad w jego umyśle i uczuciach. Wyzwolić się z tego kompleksu mógł tylko przez uznanie w tej sferze z której wyszedł, a nie przez mszczenie się na niej. Mógł się w nią wkupić z powrotem, oddając im usługi.

Te uczucia nie były u niego świadome. Były raczej odruchami, instynktem który zbudził się w nim w chwili gdy spostrzegł, że z powrotem może znaleźć się w gromadzie kiedyś porzuconej. Była to także tęsknota za młodością. Natura ciągnęła go w tym kierunku, mimo że znał słabości własnej klasy społecznej i że nie wierzył w nią.

A zresztą miał dwie córki, zrodzone z małżeństwa ze swą dawną francuską sekretarką i żona pragnęła by kiedy wejdą w świat miały rodzinę, kuzynów, stosunki. Trzeba grunt przygotować, zerwane związki naprawić, zwłaszcza że gospodarna żona wcześniej zaczęła zbierać posag.

— Nie znam młodego Stasia, nie wiem nic o nim bliżej, niechże zgłosi się do mnie. Mam czas we środę po południu. Niech przyjdzie. Mówi po francusku?

— Doskonale, także mówi po angielsku płynnie.

— O to bardzo cenne....

Panna Chroberska uważała za stosowne reklamować siostrzeńca dalej.

— Pracował dużo społecznie na Uniwersytecie. Był prezesem w katolickiej organizacji młodzieży „Przyszłość”.

Włyński przypomniał sobie rozmowę z Ankwiczem. Zapowiadając wizytę „tej poczciwej Izi” wspomniął Adam że proteguje ona swego siostrzeńca, któremu „kurzy się” w głowie — jak Ankwicz to określił. Zapytany przez Włyńskiego co ma przez to rozumieć, Ankwicz chwając młodego człowieka wydał o nim same ujemne opinie. Młody Wojniłowicz był zdolny ale nadmiernie pewny siebie, poglądy miał katolickie ale niekonsekwentne, dla kariery jedynie stosowane, był obraźliwy a przede wszystkim interesował go problem komunizmu. Majątek dawał mu niezależność, co zdaniem Ankwicza nie było wskazane dla urzędnika.

— Czy nadawałby się na młodszego sekretarza jakiegoś poselstwa? — zapytał Włyński.

— O nie — brzmiała odpowiedź Ankwicza — narobiłby pełno nietaktów — jemu trzeba przytrzczyć rogów. Najwyżej służba konsularna.

Włyński przypomniał sobie to wszystko, bo od niedawna kierując sprawami personalnymi Ministerstwa szukał pośpiesznie kandydatów na młodsze stanowiska w Londynie, Waszyngtonie i w Tokio, o które szturmowali posłowie stamtąd. Chciał wybać Ankwicza czy przeciw młody Wojniłowicz nie mógłby być wysłany na jedną z anglosaskich placówek?

Ankwicz stanowczo zaprzeczył. Chłopak był za młody i nie wyrobiony, nie wiadomo co z niego jeszcze wyrośnie. Zdaniem Ankwicza są inni zdolniejsi kandydaci, choćby młody Ostrogski, który powinien wyjechać za granicę, a który daje gwarancję że ma charakter i potrzebny takt. No i koneksje wśród angielskiego towarzystwa.

Włyński liczył się ze zdaniem Ankwicza, bo chciał jego poparcia w Sejmie. Zresztą Ankwicz dowodził przekonywująco o Wojniłowiczu. Wspomnił o tym, że lewicowe, antypaństwowe poglądy Stanisława zmusiły moderatora „Przyszłości” do usunięcia go z prezesury, wspomnił że Wojniłowicz miał jakieś stosunki z wywrotowcami i że ostrożność jest konieczna.

Tak więc opinię o Stanisławie ustalono wcześniej, a los jego został przesądzony. Włyński chciał zadowolić i Chroberską i Ankwicza. Wiedział z góry że użyje kandydata ale że go nie zużytkuje. Gdy teraz Chroberska wspomniła coś o pracy społecznej Stanisława powiedział:

— Ah tak, słyszałem coś o tym, czy bodajże czytałem...

Nie czytał niczego, ale wspomnił tak by zastrzec wrażenia że mógł coś wiedzieć od Ankwicza. Chroberska przełękła się. Była pewna, że Włyński zna doskonale skandal sprzed trzech miesięcy.

— To było drobne zajście studenckie. Stanisław ma dobry charakter. Uniósł się niepotrzebnie, ale i zacny prałat Matusik nie jest bez winy. Nie mógł zrozumieć że mego siostrzeńca interesują sprawy społeczne. Przyznaję że jest trochę lewicowy, katolicko-lewicowy — poprawiła się.

— Mój Boże, któż w czasach młodości nie bywa lewicowy — załagodził Włyński.

Potem podszedł do biurka i nacisnął niewidoczny dzwonek. Zjawiła się sekretarka.

— Panno Jadwigo, proszę radcę Przetarkiewicza.

— Gdy się jest ojcem rodziny, to musi się mieć wyrozumienie dla błędów dzieciństwa i młodości — powiedział Włyński do Chroberskiej.

Ta pomyślała:

— Anonsuje mi o swojej rodzinie, o swoich córkach. Widocznie chce żebym o nie zapytała. Nie teraz, może później.

W tej chwili w plikiem aktów w ręce wszedł radca Przetarkiewicz, stary urzędnik sądowy który załatwiał nominacje i prowadził personalne kartoteki. Chroberska była świadkiem rozmowy.

— Pan minister mnie wzywał?

— Panie kolego jak wyglądają nasze możliwości personalne? Chciałbym znaleźć miejsce dla młodego kandydata. Praktykę, może narazie praktykę konsularną?

— Proszę uprzejmie pana ministra, jakby to powiedzieć, jest tych praktyk kilkanaście, tylko wszystko bardzo źle płatne. Po ostatniej międzyresortowej konferencji budżetowej obcięto nam jeszcze te dwa etaty...

I Przetarkiewicz zaczął ze wszelkimi szczegółami wymieniać trudności, które ostatnio robiono Ministerstwu w zakresie budżetowym i personalnym. Zniecierpliwił w końcu Włyńskiego, który chciał już sprawę załatwić. Miał wieczorem kolację i bridża u Zatowskich.

— Ale przecież wczoraj wspominał mi pan o jakimś konsulacie, gdzie musimy kogoś wysłać?

— Palermo panie ministrze, ale tam trzeba urzędnika z doświadczeniem, ze względu na te pomarańcze...

— No to nasz kandydat nabierze doświadczenia... Już mam, już mam, zwrócił się do Chroberskiej.

— Rząd zawarł kontrakt importu pomarańcz i cytryn dla szkół wzamian za śląski węgiel. Dwa statki z koncernu Zatowskiego zobowiązały się przewieźć tony węgla na Sycylię a z powrotem otrzymać owoce. Portem przeładunkowym miało być Palermo, gdzie jednak stary konsul honorowy nie mógł interesów dopatrzeć. Było konieczne aby na jesieni przysłać mu młodego urzędnika. Zadanie nie jest trudne, w sam raz dla młodego człowieka. Pozna handel zagraniczny, służbę konsularną, pozna Włochy, południe.

Chroberska nie była zadowolona. Nie przyszła aby wystarać się dla siostrzeńca o posadę. Zależało jej aby chłopiec od razu wszedł w świat dyplomacji, aby poznał ludzi i nawiązał stosunki. Poselstwo, ambasada w Paryżu, w Londynie, w Rzymie, no w Wiedniu czy w Berlinie to tak. Ale nie konsul, praktyka konsularna gdzieś w Palermo. Replikowała:

— Czy jednak nauczy się czegoś? Czy wyrobi sobie stosunki?

— Musi zacząć od początku — tłumaczył Włyński — to zresztą będzie krótki stage. A potem zobaczymy. Coś się na pewno otworzy...

Chroberska teraz postanowiła użytkować atut, jaki Włyński podsunął jej dając do poznania że jest ojcem rodziny. Przerwała nagle rozmowę patrząc na biurko:

— Cóż to za dwie śliczne panienci na tej fotografii? Ah jakież piękne. Córeczki?

Chwył był zreżymy. Rozmowa na temat Stasia przerwała się, a Włyński powiedział o swym małżeństwie w Genewie podczas wojny, o swoich dwóch córeczkach- bliźniaczkach, które właśnie na jesieni oddaje do Niepokalanek, a Chroberska okazała rodzinną serdeczność i gorące zainteresowanie. Wypomniała mu że nie zna panienek, że koniecznie musi być u nich, że przecie nie można dopuścić by dziewczynki nie znały starej ciotki. Wszystko to powiedziała uśmiechając się, z pewnością i łaskawością głosu. Padły zaproszenia, umówiono się...

Włyński zrozumiał czy wyczuł. Dość że z kolei wrócił do sprawy Stasia i stwierdził:

— Zrobię wszystko dla młodego Wojniłowicza i zapewniam, że Palermo to będzie tylko chwilowa, paromiesięczna praktyka, po której za-

pewne przyjdzie Rzym, a potem, wkrótce, wielki świat. Zrobimy z niego dyplomatę. Czekam we środę.

Wśród uśmiechów, komplementów i podziękowań zegnali się, mając wewnętrzną do siebie antypatię, ale potrzebując się wzajemnie. Raz jeszcze Chrobberska powróciła do przeszłości i otwarcie wyznała, że widzi jak bardzo Włyński zmienił swe życie od tamtych czasów. A on replikował po francusku zadowolony.

— Les honneurs changent les moeurs.

— Les honneurs comptent — odpowiedziała mu dwuznacznie Chrobberska. Nie mogła sobie odmówić tej drobnej złośliwości wychodząc z jego gabinetu. Ale w duszy przyznała, że wtedy gdy wojował z całą rodziną przygotowywał dla siebie karierę o jakiej nikt nie myślał. „Znać po nim, że wyszedł z dobrego gniazda” — myślała.

III.

Pensjonat pani Dudyńskiej na ulicy Wolskiej, znany był młodzieży akademickiej w Krakowie. Właścicielka była wdową po znakomitym, przedwcześnie zgasłym profesorze matematyki. Dopomagała sobie odnajmując pokoje studentom Uniwersytetu, a także wydając na miasto smaczne obiady domowe na maśle. Młodzież nazywała panią Dudyńską „starą Dudą” i schodziła się u niej w południe, w przerwie między wykładami, wprowadzając do wielkiej jadalni gwar i podniecenie młodości.

Janka zamieszkała u p. Dudyńskiej, choć właścicielka pensjonatu nie lubiła właściwie studentek, bo prały, prasowały i rano za długo siedziały w łazience. Chłopcy, jak sama to przyznawała, sprawiali mniej kłopotu, o ile oczywiście — dodawała śpiesznie — pilnowało się ich odpowiednio. Ale co do tego miała pani Dudyńska umowę ze stróżką. Morałności domu bowiem strzegła bardzo pilnie, a raczej dobrego imienia jakie zostawił jej ś.p.mąż, umierając przed trzydziestu pięciu laty.

Po wielkim świecie Warszawy Kraków wydawał się Jance mały, przyciężki i prowincjonalny. Brak życia lub jego powolność, wewnętrzne drobne sprawy roznamietniające miasto, usposobiły Jankę raczej nieżyczliwie dla tych Aten polskich. Ludzie byli tu inni niż w Warszawie, zamknięci w sobie, biedniejsi, bez pomysłów a życie było przestarzałe, dalekie od stołecznego bogactwa do którego mimo woli przyzwyczaiła się.

Ostatecznie nie przyjechała na zabawę. Przyjechała na studia i pierwsze swe kroki skierowała do gotyckich gmachów Uniwersytetu wywiedzieć się o warunki wpisu. Kupiła sobie spis wykładów, siadła na Plantach pod rozłożystymi kasztanami i zagłębiła się w czytaniu. Nie wiedziała co studiować, a wszystko ją ciągnęło: medycyna i nauki ścisłe i filozofia i humanistyka. Wabiły ją wykłady i z psychologii i z historii literatury i prawo i szkoła nauk politycznych, chemia i nauki pomocnicze historii. Powstał u niej zamęt, nie mogła się zorientować jak ma postąpić, a nie miała się kogo poradzić.

Tydzień przeszło doznawała tego rozkosznego oszołomienia. U pani Dudyńskiej poznała się rychło z przyszłymi kolegami, którzy udzielając jej nieocenionych rad ostatecznie powiększyli tylko jej niepewność. Ostrzegali ją przed rozmaitymi profesorami, seminariami, zakładami, gdzie panują stosunki nieznośne a egzamina są niemożliwie trudne, zachwalali coraz to innych, podsuwali rozmaite pomysły. Wreszcie Janka zdecydowała się. Mimo zamiłowań dla medycyny, mimo wprawy czy obycia z życiem lekarskim nie wybrała tego za trudnego dla niej studium, ale nauki przyrodnicze, ze szczególnym uwzględnieniem fizyki i matematyki, do których miała zamiłowanie po ojcu. Wpisała do indeksu także wykłady z historii i z literatury, tak łapczywą była na zdobycie wykształcenia i zaczęła latać z wykładu na wykład, z ćwiczeń na seminaria. Była szczęśliwa, studiowała.

Życie koleżeńskie wciągnęło ją rychlej niż się spodziewała w drobne a zasadnicze sprawy młodzieży. Mimo rezerwy jaka była istotną cechą jej charakteru, mimo przyrodzonej nieśmiałości zapisała się do kółka filozoficznego i koła warszawian, urządzając herbatkę zapoznawczą i biorąc udział w wyborach w obecności kuratorów. Czula wokół siebie atmosferę sympatii, nauki, pracy i szybko polubiła to życie nie wolne od próżności małego środowiska, tak typowego dla wszystkich miast uniwersyteckich.

Na sobotnich herbatkach u pani Dudyńskiej poznała rozmaitych profesorów, dziekanów i rektorów Jagiellońskiej Wszechnicy. Profesorowa należała bowiem do tego środowiska, które wraz z żonami, dziećmi i służbą nadawało ton miastu. Mówiono o ostatnich wypadkach politycznych w świecie, o ostatnich wydawnictwach, o sejmie, rządzie, prezydencie, o teatrze i prasie zawsze z jednego punktu widzenia, krakowskiego i nie tajono że recepta na całe życie społeczne znajduje się tu, w Krakowie, zamknięta razem z berłami rektorskimi w salach senatu Almae Matris. Oddawano sobie hołdy wzajemne i nieszkodliwie intrygowano wzajem.

Janka spostrzegła jednak że to życie przyćmione i ukryte posiada wartości głębsze niż przypuszczała. Przez czas paromiesięcznego pobytu w Krakowie skorzystała więcej niż w Warszawie. Nie wiedziała czy stało się to przez wykłady czy przez rozmowy. Czula jednak że ludzie mają tu częstokroć rację gdy krytykowali sprawy, które wszystkich obchodziły, gdy oświetlali wypadki jakie Janka знаła jedynie poruszane przez namiętność czy ambicję.

Siedziała raz na plantach porządkując notatki z wykładów, gdy przysiadł się stary profesor Brzozowski, który co rano odbywał przechadzkę po zielonym pierścieniu ogrodów otaczających śródmieście. Biolog wykształcony ze granicą nie miał najlepszej opinii na Uniwersytecie bo raził kolegów radykalnymi poglądami. Znał kiedyś dobrze ojca Janki i stąd uważał się po trosze za jej opiekuna. Zapytał jak się jej powodzi, jak podoba się jej miasto i to nowe życie. Znając jego przekonania Janka śmiało zwierzyła mu swoje wątpliwości. On replikował, o dziwo w duchu zupełnie przeciwnym niż przypuszczała:

— Kto zna świat, kto podróżował i studiował za granicą ten wie że Kraków ze swymi zabytkami, Uniwersytetem, Akademią Umiejętności, ze wszystkimi rektorami i prezesami razem, rządzi się socjologicznym prawem wszystkich podobnych miast. Że tak samo w Oxfordzie czy w Heidelbergu, w Princeton czy w Montpellier szkoły wyższe ciążą nad atmosferą miasta, a profesorowie są tak samo nieznośni i tak samo wartościowi. W zrównoważonych społeczeństwach, pielęgnowanie tradycji i drobne próżności nie są obśmiewane jak w Polsce, ale są szanowane bo prowadzą do rezultatów znacznie głębszych i żywotniejszych.

I wygłosiwszy tę obronę rodzinnego miasta pożegnał się by spacerować „na schudnięcie” jak tłumaczył Jance:

— Ależ pan profesor jest taki szczupły.

— Właśnie dlatego, że od pół wieku codziennie zżywam przechadzki na plantach.

Więc pogodziła się z tym życiem rychło i była zadowolona. Od męża otrzymała dwa krótkie listy i równie zimno i nieobowiązująco odpisała mu.

Zaprzyjaźniła się z Dudyńską i jej domem. Syn profesorowej, Walery, młodzieniec nie pierwszej młodości, wzorem ojca studiował nauki przyrodnicze i wróżyło mu świetną przyszłość. Był już adiunktem i miał się habilitować, by z katedry szerzyć wiedzę nieco tradycyjną lecz niemniej solidną, jaką w Krakowie z małym opóźnieniem kilkunastu lat uprawiano. Marzeniem matki było widzieć go profesorem, dziekanem a wreszcie rektorem ubranym w gronostaje, łańcuchy i w purpurę. Pracowała nad tym solidnie, łożąc na wykształcenie syna, a równocześnie przez zabiegi, przyjaźnie i protekcje zapewniając mu następstwo na katedrze po profesorze.

który wcale umrzeć nie chciał. Walery starał się jak matka twierdziła o córkę znakomitego historyka Karwińskiego, b. rektora Uniwersytetu, wiceprezesa Akademii Umiejętności, członka wielu towarzystw naukowych, ojca licznej rodziny i autora monumentalnego wydawnictwa „Źródeł dla poznania dziejów miast polskich”, którego dwa tomy ukazywały się corocznie, by leżeć na składzie księgarskim.

Jakoś w okresie Bożego Narodzenia przyjechała do Krakowa Mira Zatowska i zamieszkała w pensjonacie Dudyńskiej „aby móc się nagadać z Janeczką” — jak mówiła. Zorganizowała po świętach wyprawę autem do Zakopanego, do willi Zatowskich na Gubałówce, która cały rok pusta czekała na kaprys swych właścicieli.

— Bieda w tym że i mąż twój wprosił się na tydzień — powiedziała Zatowska do Janki, namawiając ją na tę wycieczkę.

— Nic mi to nie szkodzi, tylko niech mieszka oddzielnie.

— Wiem, wiem kochana, że ty jesteś dla niego zimna i nieprzystępna.

— Po prostu nie kocham go. A skoro mu zależy na pozorach, to mogę je utrzymywać, to mu obiecałam.

— Będziemy się pysznie bawić. Hipolitek ma nowy wóz.

Zatowska kokietowała Walerego Dudyńskiego po prostu z nudów. Młody uczonec nie był bowiem ani zabawny, ani znowu tak przystojny, aby w normalnych warunkach zwrócić uwagę Zatowskiej. Ku zdziwieniu Janki Zatowskiej zaprosili go do Zakopanego, by go oderwać od ksiąg i pracowni. Poparł tę myśl Wolański, który przybył razem z Zatowskimi. Tylko pani Dudyńska obawiała się, by Walusiowi nie wrócił w Zakopanem katar, na który tak bardzo cierpiał jesienią.

Ruszono wielkim Mercedese, lśniącym nowością, w nastrojach wesołych bo grudniowa pogoda była mroźna i sucha. Zatowska siedziała w głębi między Walerym a bratem. Zatowski rozparł się na dwóch siedzeniach z przodu, a Janka wybrała miejsce obok szofera.

Wóz szedł szumiąc cicho i minęli Myślenice, Zabornię, Chabówkę aż wjechali na równinę Nowotarską i ujrzeli w południowym słońcu ośnieżone szczyty gór. Owiał ich ostry wiatr, ożywcze powietrze od lasów i skał i gdyby nie obecność męża, który siedział milczący w głębi Janka czułaby się szczęśliwa widokami i zielenią świerków.

Z tyłu wozu dochodziły ją głosy. Zatowski pytał:

— Czy telegrafowałaś do Jakubisiakowej że przyjedziemy pod wieczór? Kolacja będzie gotowa?

— Nie nudź Hipolitku, nie tylko telegrafowałam ale i telefonowałam. Wszystko jest przygotowane.

— Jestem głodny — mruzczał pułkownik — myślę że i ty Janeczko?

Janka udała że nie słyszy. On powtórzył z jeszcze większą czułością.

— Janeczko kochanie, jak tam z twoim apetytem, nie jesteś głodna? — i podał jej bułkę z kawiozem.

— Nie, narazie nie. Dziękuję. Może później — urwała.

Za to Walery wykazywał dobry humor i apetyt, karmiony troskliwie przez Zatowską. Śmiał się z dowcipów Zatowskiego, uśmiechał do Zatowskiej, starał nawiązać rozmowę z pułkownikiem, a wreszcie długo i dokładnie wykladał o gazach trujących, jakie będą użyte w przyszłej wojnie. Zatowski zdrzemnął się żując cygaro.

W pewnym momencie przerwał Wolański:

— Rozumiem, rozumiem to wszystko profesorze, ale wytłumaczcie mi proszę, czy tak jak maski gazowe dla ludzi, nie mogłyby być zastosowane maski gazowe dla koni? Rzecz ma zasadnicze znaczenie z punktu widzenia taktyki kawalerii.

Dudyński poprawiając kalosz, który mu ciągle spadał i zaciskając szczelniej szalik wokół szyi, by wiatr zakopiański nie wpędził mu bolesnego kataru, znowu zaczął gadać o niedoskonałości masek i trudności w ich fabrykacji. Czytał niedawno artykuł o przyszłej wojnie i popisował się

swą wiedzą aż nareszcie Zatowska wpakowała mu jeszcze jedną bułkę z szynką i z termosu naląła herbaty z rumem, bo zaczęła być nudna ta rozmowa strasząca ją widmem popażeń, oślepień.

Tak wjechali do Zakopanego, które przyjęło ich deszczem. W domu zastali obfitą kolację i wódkę z zakąskami i nareszcie mógł Zatowski zapalić cygaro, patrzając przy dźwiękach gramofonu żona uczyła Walerego modnych tańców.

Tydzień pobytu w Zakopanem zbiegł Jance szybko zwłaszcza że nie brała udziału w wyprawach Zatowskich, Walerego i Władzia na dancingi, ale chodziła na spacerzy i marzyła o pójściu na długą i daleką wycieczkę.

Na Nowy Rok obydwójce Wolańscy otrzymali kartkę pocztową od księdza Matusika, który przysyłał im serdeczne życzenia i wyrazy swego szacunku, ciesząc się iż są razem w Zakopanem.

— Skądże on wiedział, że jesteśmy tutaj? — spytała Janka.

— Pisałem do niego — odparł pułkownik — to mój najlepszy przyjaciel, nie masz pojęcia jaki zacny i oddany mi.

— Władziu — przerwał mu Zatowski — jeszcze raz ci oświadczam że oddałeś mi ogromną usługę, poznając mnie z generałem Podgórskim.

— To świetny żołnierz — stwierdził pułkownik — i jeden z najlepszych jeźdźców w armii.

— Ale tańczy nieznośnie, nie do rytmu — narzekała Zatowska.

— Bo on tylko umie jeździć konie, a na tangu się nie zna — śmiał się Walery, który coraz lepiej i pewniej czuł się w tym towarzystwie.

Janka kupiła sobie narty, zapisała się na jakiś kurs i spędzała dnie na śniegu ucząc się łuków i chrystianii o czym wieczór opowiadała z ożywieniem. Ale jej nie słuchali z wyjątkiem Zatowskiej paradującej w spodniach i butach narciarskich po Krupówkach. Twierdziła że to najwygodniejszy strój na zakopiańską pogodę. Mąż był dla Janki uprzejmy i grzeczny, mało się zresztą do niej odzywał, bojąc się jej odpowiedzi. Przesiadywał do późna na dancingach z Zatowskim, który omawiał tam grube interesy.

Nagle z najwyższym zdziwieniem odebrała Janka list przy śniadaniu, przepojony zapachem perfum Zatowskiej w którym wyczytała skandaliczną jak się jej zdawało sprawę. Zatowska donosiła Jance, że ma dość tego życia przy starym brutalu, który jej nie rozumie i zdecydowała się rzucić Hipolitka z chwilą gdy znalazła człowieka który ją kocha. Pisała że wyjeżdża w świat razem z Walerym, że zrozumiała swe przeznaczenie bo poznała człowieka który wymaga opieki i ciszy jak tego zawsze pragnęła.

Janka zerwała się z łóżka. Jej pierwszym odruchem było pobiec do Hipolita i zawiadomić go, ale nie miała odwagi tego uczynić. Poszła do męża, który spał jeszcze i podała mu list. Była wzburzona i przerażona. Może to da się jeszcze naprawić?

Pułkownik czytał wściekły, że złe nowiny obudziły go tak wcześnie. Bolała go głowa po wczorajszej wódcie. Mruczał:

— Ma Hipolitek za swoje, że baby krótko nie trzymał.

— To nieszczęście dla niego. Będzie złamany.

— Po cóż dał żonie hulać z tym bęcwałem. W tym domu, pod wspólnym dachem mizdrzyli się do siebie.

Janka przypomniała sobie jakieś ich spacerzy, rozmowy, jakieś szeptki i uśmiechy, których jednak nie brała na serio. Przypominała sobie jak idąc raz wcześniej na narty spotkała na schodach Dudyńskiego, w szlafroku i w pantoflach i dziwiła się co mógł robić na pierwszym piętrze willi. Przez myśl jej nie przeszedł taki skandal i takie zachowanie się Zatowskiej.

— Zbić ją było trzeba porządnie, toby jej amory przeszły. Mówiłem to Hipolitowi — gadał swoje Wolański.

— Na miły Bóg to Hipolit wiedział? — spytała Janka i spostrzegła że wokół niej działy się rzeczy o których nie miała pojęcia.

— Oczywiście że wiedział, przecież nie idiota. No cóż się tak patrzysz na mnie. Chodź pójdziemy do niego.

Zatowski przyjął wiadomość nad wyraz spokojnie. Nie przejął się listem żony, rzucił nań okiem i mruknął.

— Już trzeci raz dostają takie listy od tej wariatki.

— Jak to? — spytała Janka.

— Tak to — przedrzeźniał Zatowski — tak to, trzeci raz. Tak samo pisała mi gdy wyjechała z Weynertem, tym od nafty. Było to podczas wojny, jeszcze się wtedy przejmowałem. Potem z młodym Zasławskim, tym arystokratycznym bubkiem, a to jest trzeci pasztet.

— I co? — pytała Janka, ciągle czując się zgubioną.

— No i wracała za każdym razem po miesiącu.

— I nie rozeszliście się?

— Nie, bo nie mam na to czasu.

— Cóż teraz robić?

— Nic. Zatelegrafuję do Wiednia i zamknę jej rachunek wbanku. To najlepszy sposób. Za dwa tygodnie tu wróci, najwyżej za miesiąc, jeżeli wzięła ze sobą perły.

Wracali do Krakowa autem w humorach złych. Siedząc obok szofera Janka nie odzywała się, bo czuła że czeka ją w Krakowie niemiła scena z Dudyńską. Jak uniknąć tej rozmowy nie wiedziała. Jak wytłumaczyć matce głupstwo, czy awanturę jaką urządził syn, czym usprawiedliwić postępowanie szwagierki? Gdyby w tym wszystkim było jeszcze jakieś istotne uczucie może znalazłaby Janka siły do dyskusji, ale było wariactwo, bziki Hipolitowej, histeria. Wstydziała się za nią, wstydziała się towarzystwa które z cichego i spokojnego życia wyrwało syna profesorowej.

Awantura czyniła także trudną jej pozycję. W świecie w jakim ostatnio się obracała panowała surowość obyczajów, którą nazwać by można mieszczańską. Pod jej powierzchnią Janka czuła te same instynkty, na które patrzyła w Warszawie w otoczeniu męża i Zatowskich, te same ambicje lecz bardziej przytłumione. A to jej odpowiadało.

Nagle przez głupstwo Zatowskiej jej osobista pozycja robiła się niemożliwa. Nie mówiąc już o mieszkaniu u Dudyńskiej, także praca Janki w zakładzie fizycznym stawała się trudna, bo wszyscy będą tam pytali o adiunkta, który tak nagle uciekł, wszyscy będą przecież wiedzieli szczegóły tego romansu.

A wszystko dlatego, że wyszła za wcześniej zamąż, gdyby była zaczekała lat parę, gdyby była słuchała rad ojca i Kozłowskiego, dziś byłaby wolna i kierowałaby swoim życiem. Wszystkiemu winien Władzio, że obalamucił ją, że zaufała jego słowom, chociaż nie wiedziała kim on był naprawdę.

I jak zawsze w takich okolicznościach występowała u niej zaciętość i irytacja, objawiająca się uporczywym milczeniem. Widziała przed sobą góry, lasy, łąki, wsie podhalańskie i żal wzrastał w niej że nie może się cieszyć tym wszystkim, ale że musi wiecznie zależeć od drugich.

Poprzysięgała sobie po raz już nie wiedzieć który, że zerwie z mężem, że ucieknie od niego a tymczasem on w ten czy inny sposób zawsze krzyżował jej drogę na jaką chciała wejść. I teraz przez jego siostrę, przez jej niemoralność, głupotę, histerie, zepsuła sobie stosunki. Chyba będzie musiała wrócić do Warszawy, zamieszkać jakiś czas z Władziem, odczekać plotki w Krakowie i wrócić jak sprawy się uspokoją a Walery po swej przygodzie znajdzie się znowu na torze jaki mu wyznaczyła matka.

O ile Janka w swych rozmyślaniach przesadzała winę męża, który zachował wobec niej warunki układu zawartego w lecie, gdy próba rozwodu nie doszła do skutku, to nie przesadzała rozmiarów przykrości jakie ją czekały w Krakowie.

Dudyńska otrzymała list od syna. Donosił jej że teraz dopiero poznał życie w ramionach kobiety która go kocha (co za styl pisać tak do matki!) i poznała się na nim i otwarła przed nim świat. Rzucił podle płatną adiunkturę, ciskał karierę naukową, przestało mu zależeć na ludziach, którzy na nim się nie poznali a wyzyskiwali go przez lata. Ruszył w świat

z ukochaną po nowe lepsze jutro i prosił matki by mu przysłała do Wiednia jego smoking.

Profesorowa opowiedziała to wszystko Jance z goryczą, z żalem nie tajonym pod jej adresem, bo to ona wciągnęła zanego i niedoświadczonego chłopca, w to warszawskie, zepsute towarzystwo.

— Jest mi niezmiernie przykro proszę pani, ale ja naprawdę nie przypuszczałam że moja szwagierka będzie tak lekkomyślna. Że tak lekkomyślny będzie także pani syn.

— On nie jest winien! To ona, ona ta... ah! słów doprawdy nie mam.

— Przede wszystkim zachować trzeba dyskrecję.

— Jak zachować dyskrecję? Całe miasto huczy. Właśnie w Zakopanem bawił na święta rektor Wągrowski i profesor Baum razem z żonami, gdy stał się ten skandal. Widziano jak umizgiwała się do mojego syna, a gruchło po kawiarniach jak z nim uciekła.

— Z pewnością wróci.

— Wróci, ale co z tego? Jego kariera będzie złamana. Czym zostanie? Nauczycielem gimnazjalnym? Przy jego inteligencji, przy jego wiedzy. Chciałam żeby się tu żenił, znalazłam mu pannę z zanego, czcigodnego domu. Ah co mi pani narobiła!

Janka pożegnała się zimno, zirytowana tonem profesorowej, której położenie istotnie było trudne. Zgodziła się wrócić do Warszawy na jakiś czas, zastrzegając się ciągle przed mężem, że zostawi jej wolność.

W samochodzie Zatowski był w doskonałym humorze. Pałac cygaro śmiał się i zacierał ręce.

— Ale udała mi się ta wycieczka do Zakopanego.

— Dlaczego? — pytał go trochę zdziwiony pułkownik.

— Pozbyłem się żony co najmniej na miesiąc — tu dodał coś ciszej czego Janka nie słyszała — i dzięki tobie podpisałem znakomity kontrakt z generałem Podgórskim. Przystępuję do produkcji masek gazowych. Pierwsze zamówienie na ćwierć miliona sztuk zrobione. Połowa należności płatna z góry dla poparcia produkcji krajowej. To nie głupi facet ten twój generał.

— Mówiłem ci że to najlepszy jeździec w całej armii.

— Czy była od siostry wiadomość?

— Tak wraca za dwa tygodnie, ale jedzie się leczyć na nerwy do Kosowa.

— A ten jej bubek?

— Wiesz on nie taki głupi jakby się zdawało. To on poddał mi myśl o tych maskach gazowych. Zaproponowałem mu telegraficznie objęcie stanowiska dyrektora. Ten Dudyński ma głowę. Mira zawsze pozna się na ludziach. I ona nie taka wariatka.

Janka słuchała tej rozmowy i rosło w niej uczucie, że świat wokół niej kręci się w jakimś niesamowitym, nieobliczalnym tańcu.

d.c.n.



BIEDNY CHRZEŚCIJANIN PATRZY NA RZEŻ W GHETCIE

Pszczoly obudowują czerwoną wątrobę
Mrówki obudowują czarną kość
Rozpoczyna się rozdieranie deptanie jedwabi
Rozpoczyna się tłuczenie szkła, drzewa, miedzi, niklu, srebra,
[pian

Gipsowych, blach, strun, trąbek, liści, kul, kryształów
Pyk! Fosforyczny ogień z żółtych ścian
Pochłania ludzkie i zwierzęce włosie.

Pszczoły obudowują plaster płuc
Mrówki obudowują białą kość
Rozdzierany jest papier, kauczuk, płótno, skóra, len,
Włókna, materje, celuloza, włos, węzowa łuska, druty
Wali się w ogniu dach, ściana i żar ogarnia fundament
Jest już tylko piaszczysta, zdeptana, z jednym drzewem bez liści
Ziemia.

Powoli, drążąc tunel, posuwa się strażnik-kret
Z małą czerwoną latarką przypiętą na czole
Dotyka ciał pogrzebanych, liczy, przedziera się dalej
Rozróżnia ludzki popiół po tęczującym oparze
Popiół każdego człowieka po innej barwie tęczy.
Pszczoly obudowują czerwony ślad
Mrówki obudowują miejsce po mojem ciełe.

Boję się, tak się boję strażnika-kreta
Jego powieka obrzmiła jak u patryjarchy
Który siadywał dużo w blasku świec
Czytając wielką księgę gatunku.

Cóż powiem mu, ja Żyd Nowego Testamentu
Czekający od dwóch tysięcy lat na powrót Jezusa?
Moje rozbite ciało wyda mnie jego spojrzeniu
I policzy mnie między pomocników śmierci:
Nieobrzezanych.

Warszawa 1943

PORTRET Z POŁOWY XX WIEKU

Ukryty za uśmiechem braterstwa
Pogardzający czytelnikami gazet, ofiarami politycznej dialektyki
Wymawiający słowo „demokracja” ze zmrużeniem oka
Nienawidzący fizjologicznych uciech ludzkości
Pełen wspomnień o tych, którzy żarli, pili i spółkowali, a za
[chwilę podrzynano im gardła
Pochwalający dancingi i zabawy w ogrodach jako sposób na
[publiczne gniewy
Wołający: kultura i sztuka, a myślący o igrzyskach w cyrku
Śmiertelnie znużony
We śnie albo w narkozie wołający: Boże, Boże.

Przyrównuje siebie do Rzymianina w którym kult Mitry zmieszał
[się z kultem Jezusa
Dawne wiary w nim nie wygasły. Czasem myśli że jest we
[władzy demonów
Gromi przeszłość bojąc się że kiedy ją zgromi nie będzie miał
[gdzie złożyć głowy
Najchętniej gra w karty i w szachy, żeby własnych nie zdradzać
[tajemnic

Rękę oparł na pismach Marxa, ale w domu czyta Ewangelię
Z ironią patrzy na procesję wychodzącą z rozbitego kościoła
Za tło ma ruiny miasta koloru końskiego mięsa
W palcach pamiątkę trzyma po faszyście poległym w powstaniu.

Warszawa 1945

JANUSZ MEISSNER
(Porucznik Herbert)

NA AFRYKAŃSKIM SZLAKU

Latem roku 1940 lotnictwo brytyjskie stanęło przed olbrzymim zadaniem. Nie mam tu bynajmniej na myśli działań lotniczych w obronie wysp brytyjskich, ani w ogóle jakichkolwiek działań bojowych, lecz transport samolotów drogą powietrzną poprzez Afrykę Środkową, z Takoradi na Złotym Wybrzeżu — do Kairu.

Chodziło wówczas o dostarczenie nowoczesnych maszyn dywizjonom brytyjskim na Bliskim Wschodzie; o zaopatrzenie lotnictwa walczącego przeciw Włochom (a następnie również przeciw Niemcom) w Abisynii, w Jugosławii, w Grecji i w Afryce Północnej.

Muszę od razu dodać, że później, po wybuchu wojny z Japonią, ów szlak powietrzny został przedłużony poprzez Arabię i Persję do Indii. Ale to już było zadanie łatwiejsze w porównaniu z tym, które rozwiązano w roku 1940.

Wówczas, w chwili gdy padła Francja, szlak afrykański jeszcze nie istniał. Nie było wytyczonej trasy, nie było lotnisk, nie było środków transportu benzyny, nie było pilotów...

Wszystko to zorganizowano w czasie nieprawdopodobnie krótkim, dzięki ogromnemu wysiłkowi ludzi, którzy uwzięli się dokonać rzeczy na pozór niemożliwej.

Zbudowano hale montażowe i lotnisko w Takoradi. Założono sieć lotnisk i lądowisk poprzez Nigerię, Sudan Francuski i Brytyjski, aż do Egiptu. Paliwo, wszelkie materiały i zaopatrzenie dostarczano kolejami — tam gdzie istniały linie kolejowe. Gdzie ich nie było, jak np. w północno-wschodniej Nigerii lub w Sudanie, zorganizowano transport samochodami. Ale i samochód nie wszędzie mógł dotrzeć: do El Fasher i do Fortu Lami szły setki mułów i wołów, do Ati zaś — wielbłądów, objuczonych blaszankami z benzyną.

Później zorganizowano na lotniskach stacje meteorologiczne i łączność radiową. Dostarczono części składowych na baraki mieszkalne, wybudowano messy i domy noclegowe dla załóg, uszczelnione przed plagą moskitów. Wreszcie — już po przybyciu Amerykanów — zjawily się chłodnie, lodówki, sprężynowe łózka i inne luksusy.

Ale pionierska praca pierwszych konwojów odbywała się w warunkach nad wyraz ciężkich. Zanim bowiem ukończono przygotowanie lotnisk — zanim nawet można było zacząć montaż samolotów w Takoradi — już trzeba było je wysyłać. Montowano więc maszyny na lotniskowcach,

a piloci startowali z pokładu aby dolecieć do Takoradi. Tam formowały się pierwsze konwoje i ruszały w daleką drogę na północny wschód, poprzez Afrykę.

Już w tych pierwszych konwojach brali udział lotnicy polscy. Już wówczas było ich kilkudziesięciu. Początkowo latali pod dowództwem Anglików, później utworzono z nich samodzielną sekcję polską; wreszcie — dowodzili nawet konwojami brytyjskimi.

Gdy w październiku roku 1940 stanął pierwszy hangar montażowy w Takoradi, zmontowanie ośmiu lub dziesięciu samolotów dla jednego konwoju tygodniowo uważane było za rekord szybkości. W ostatnich czasach z tego samego lotniska startowało ponad 400 samolotów miesięcznie. Niedługo pracowało tam 500 robotników i mechaników. Ostatnio było ich 2.000!

Takoradi... Lotnicy polscy dobrze pamiętają ten mały port, położony o 5 stopni od równika; straszliwy, lepki upał, wilgoć i chmury moskitów nad bagnami. Ale Takoradi to jedyne miejsce na Złotym Wybrzeżu, gdzie można wylądowywać skrzynie ze statków wprost na molo. To zdecydowało o wyborze.

Dźwigi okrętowe wynoszą z luków części samolotów, silniki, śmigła, narzędzia, ciągniki i samochody, aby opuścić je na drewniane nabrzeże. Stamtąd ładuje się je na wielkie wozy ciężarowe i przewozi na lotnisko, odległe o cztery mile. W jednym hangarze — a początkowo był tylko jeden — może się pomieścić dwanaście maszyn myśliwskich albo cztery bombowce na raz. Montują je śpiesznie, po czym dwaj piloci oblatujący odbywają na nich loty próbne. Wreszcie — formuje się konwój i opróżniony hangar czeka na przybycie następnego transportu.

A konwój leci. Na czele, jako samolot dowódczy, wystartował bombowiec z załogą złożoną z trzech ludzi: pilota-dowódcy konwoju, nawigatora i radiotelegrafisty. Za nim — sześć do ośmiu maszyn myśliwskich lub bombowych, tylko z pilotami u sterów. Zatoczywszy wielkie koło nad portem, aby wszyscy zdążyli dołączyć, dowódca bierze kurs na wschód, równoległe do wybrzeża.

O 120 mil od Takoradi leży Akra, jedno z największych miast Gold Coastu. Lecz konwój nie ląduje w Akra, jakkolwiek jest tam lotnisko. Zmienia tylko kurs o parę stopni, mija południowy cypel przylądka św. Pawła i — pozostawiając na lewo ląd Dahomey — leci nad morzem, aż ku Lagos w południowej Nigerii. Tu jest pierwsze lądowanie; 370 mil pierwszego etapu przebyte.

Drugi etap zaczyna się nad dziewiczą puszczą Yoruba. I znów o 120 mil od Lagos jest lądowisko wyrąbane w olbrzymim lesie, a o 190 mil dalej w kierunku północno-wschodnim drugie. To Oshogbo i Minna — odcięte od reszty świata małe osiedla, w których mieszka po kilkunastu białych oficerów i podoficerów obsługi.

Stacja etapowa jest jeszcze dalej — o 90 mil na północny wschód. Nazywa się Kaduna i leży nad rzeką tej samej nazwy. Ale z góry, z samolotu nie widać rzeki: las pochylił się nad nią z obu stron; wielkimi susami — po wyspach i wysepkach, po zatorach i naturalnych tamach ze zgniłych pni i traw — przeskoczył szerokie, bagniste koryto; przerzucił pod koronami drzew pnąca i liany — całe mosty ze zbitej, gęstej zieleni; zagarnął, ukrył, zepchnął pod siebie łachy i rozlewiska.

Rzeka walczy z nim skrycie i zdradziecko: gdy wybujałe drzewa zajmują słabszy grunt, podmywa ich korzenie i ciągnie w dół, z prądem. Na próżno czepiają się rozpaczliwie gęstwiny. Na próżno napinają żyły lian i ścięgni konarów. Wysoki, gładki pień, wrosnięty korzeniami w wysepkę niesioną nurtem, splywa coraz dalej. Drzewo chyli się, zwisa całym ciężarem na pnączach, które pękają z wysiłku, i wreszcie pada pokonane, z połamanymi gałęziami, by wraz z innymi utworzyć nowy zator gdzieś poniżej, gdzie prąd jest słabszy.

Tam za kilka lat wyrosną nowe drzewa, i znów las zdobędzie przewagę nad rzeką na czas pewien; znów puszcza strzeli w górę, wydrze się ku słońcu w śmiertelnym wyścigu do światła; znów splątane liany popelzną od pnia do pnia, z konaru na konar i okryją rzekę wspaniałą, bujną gęstwina.

Tak będzie ciągle; nawet człowiek nie zdoła tego zmienić.

Po środku szosy, grubą warstwę betonu przebija nagle kielkujące drzewo. Można je ściąć i zalać splekaną nawierzchnię drogi cementem, ale za tydzień cement się uniesie, party od spodu odradzająca się dżunglą, która chce żyć za wszelką cenę, chce rosnać wszędzie! Droga pęknie znowu i zwycięska roślinność rzuci się przez szczeliny jak powódź.

Nie pomagają stalowe kraty i plecionki na lotnisku. Nie zdoła powstrzymać tego pędu ani ogień, ani żrący kwas, ani żaden inny środek: walka człowieka z puszcza nie ma kresu; nie kończy się nigdy...

Jeszcze 130 mil tej puszczy nad rzeką i nagle — wielkie miasto! Kano. Daleko od morza — w głębi lądu — samotne, jak wysunięta pikietta cywilizacji. Tu kończy się jednak wszystko, czego człowiek biały zdołał dokonać wśród dziczy. Kończy się wraz z linią kolejową, a nawigator podaje nowy kurs, do Maiduguri — 308 mil, a potem jeszcze 130 mil do Fortu Lami.

Daleko, daleko na północ od tego posterunku wojskowego Francji, w samym sercu Afryki Równikowej drzemie przedziwne jezioro — Czad. Ale droga konwojów lotniczych nie przecina tego jeziora: prowadzi dalej na wschód — w stepy, które zajęły miejsce dziewiczych lasów.

Nad wysychającym strumieniem, który ginie raz po raz wśród kamiennych wawozów, o 240 mil od Fortu Lami leży następne lotnisko: Ati. Gdy wiatr dmie z północy, jest suchy i gorący. To oddech pustyni libijskich; to powiew wędnących w upale oaz Borku.

A dalej znów step. Coraz bardziej wypalony słońcem, coraz mniej zielony. 800 mil do El Obeid w Kordofanie, z dwiema tylko stacjami po drodze: w El Geneina i w El Fasher.

I — znów zmiana kursu: z El Obeid konwój leci na północny wschód, póki z prawej strony nie błysnie wstęga Nilu; póki z daleka nie ukażą się oślepiające białe i żółte meczety Omdurmanu i Khartumu.

Stąd — jeszcze prawie 1.200 mil do Kairu. Ponad stepami Bayuda i pustynią Nubijską — do Wadi Halfa, gdzie nie należy zostawać na noc.

— Nie nocujcie w Wadi Halfa — powie wam każdy doświadczony pilot. — Nie zdołacie tam zasnąć!

Istotnie — nawet po największym wysiłku, w najgorszy upał lepiej sięść za sterem w kabinie, z której gorąco bucha jak z pieca, i lecieć dalej, niż nocować na tej stacji. Bowiem w Wadi Halfa panuje plaga (prawdziwie egipska plaga!) maleńkich, dokuczliwych muszek. Nie chroni przed nimi żadna moskitiera, tak są małe. Dostają się wszędzie i kłują, parzą jak pokrzywa całe ciało. Skóra czerwienieje; dłonie, stopy, twarz, powieki i nos puchną i swędzą piekielnie. Szału można dostać w tych warunkach...

Toteż ludzie szaleją w Wadi Halfa, póki... póki się nie przyzwyczają; póki ich skóra i krew nie przestaną reagować na jad tych muszek. Ale to następuje dopiero po wielu, bardzo wielu kolejnych nieprzespanych nocach...

Czasem jednak konwój pozostaje w Wadi Halfa trzy, cztery doby. Zatrzymują go burze piaskowe, najgorsze z burz pod słońcem. Potężne chamsiny — wichry pustynne, wznoszą olbrzymie, rude chmurzyska pyłu na tysiące a nawet dziesiątki tysięcy stóp w górę; pędzą je z szybkością huraganu, gasząc światło dnia i zmieniając je w brudny półmrok, podobny do gęstej mgły przesyconej dymem z setek kominów fabrycznych. Powietrze przestaje być mieszaniną gazów; przenika je dodatkowo czynnik: pył. Pył, który wciska się do gardła, zatyka nos i uszy, osiada we włosach, wbija się w pory naskórka, dusi. Pył tak drobny i lekki, że nie zatrzymują

go filtry gaźników; że dostaje się do cylindrów silnika, unieruchamia przyrządy, zatyka przewody. A jednocześnie tak twardy i ostry, że rysuje szyby, żłobi krawędzie natarcia śmigieł, zaciera stalowe łożyska... Nie sposób lecieć w burzy piaskowej. Wzrok nie przebija brunatno-żółtych albo rudych tumanów, które pędzą z wiatrem; nie widać ani ziemi, ani słońca, ani najbliższego samolotu w szyku. Czasem nie można dojrzeć końców skrzydeł i sterów własnej maszyny.

Jeżeli dowódca konwoju na czas dostrzeże niebezpieczeństwo, będąc w powietrzu — najlepiej zrobi zawracając z wiatrem ku najbliższemu lotnisku. Ale jeśli burza piaskowa nadciąga z boku, prostopadle do kierunku lotu — musi wybierać: albo wyścig z wiatrem, albo natychmiastowe lądowanie i zakotwiczenie samolotów, aby wiatr nie powywraçał i nie połamał ich na ziemi.

Trzeba być przygotowanym w dodatku, że burza potrwa kilka dni; że trzeba będzie przed startem odkopać samoloty spod zwałów i zasp nawianych przez ten czas wichrem; że to, co przy lądowaniu było gładką równiną — po przejściu chamsinu może przybrać postać diun i faldów lotnego piasku; że wypadnie przetaczać samoloty o parę mil dalej, aby start był w ogóle możliwy.

Czy wystarczy żywności i wody? Czy starczy sił ludzkich, by tego dokonać? A przede wszystkim — czy śpiesznie wybrane, przygodne lądowisko okaże się dość twarde i równe, aby mogły na nim siąść ciężkie samoloty o dużej szybkości i znacznym dobiegu? Czy piloci nie rozbiją ich przy lądowaniu?... Oto pytania, na które dowódca musi sobie odpowiedzieć; oto warunki decyzji; ciężkiej, trudnej do powzięcia decyzji, za którą stoi wielka odpowiedzialność.

Burze piaskowe nie są — rzecz jasna — szczególnym przywilejem stacji Wadi Halfa: można je spotkać poczynając już od Ati, a kończąc na Kairze, czyli mniej więcej na przestrzeni dwóch tysięcy mil trasy afrykańskiej, nie mówiąc już o szlaku dalszym, przez Arabię, czy Persję prowadzącym do Indii, a stamtąd — do Burmy. Jednak najczęściej się zdarza, iż konwoje lotnicze mają do czynienia z chamsinem pomiędzy Khartumem a Kairem. A Wadi Halfa leży właśnie w połowie tej trasy.

O sześćset mil dalej na północ jest Kair.

Kair... Wspaniałe, jakże wspaniałe miasto — po tych czterech tysiącach mil nad Czarnym Łądem, po tych ledwie skleconych szałasach, barakach i szopach w Nigerii czy w Wadai!

Ulice, gmachy, asfalty, samochody, sklepy — białe kobiety! Cóż za przeskok: od Zatoki Benińskiej, od Złotego Wybrzeża i Takoradi z drewnianym molo portowym — poprzez wyrąbane w puszczy lotniska, poprzez osady murzyńskie, stepy i pustynie — do tej stolicy białej, wykwintnej, strojnej i bogatej. Jakieś Ati, czy Maiduguri — i Kair... Conradowskie niemal „Jądro ciemności” — i wykwit kultury nowoczesnej. Pięć, cztery, czasem nawet trzy doby starczą, aby konwój przeleciał te 4.000 mil — od piątego do trzydziestego równoleżnika; aby przeskoczył 1.000 lat cywilizacji...

* * *

Miałem u siebie przez kilka dni gościa stamtąd, z tego Złotego Wybrzeża, z tego afrykańskiego szlaku transportowego. Przyjechał wypocząć po trzyletniej pracy; po paruset tysiącach mil przeleciałych w konwojach; po — Afryce. Będąc w Londynie, dowiedział się, że żyje, i gdzie jestem. Nie mieliśmy o sobie wzajem wiadomości od upadku Francji: mnie los rzucił na północ, do Anglii; jego — na południe, do Algieru.

I ja również nie wiedziałem, czy Franek żyje, więc obaj ucieszyliśmy się sobą serdecznie. A potem, po pierwszych chaotycznych pytaniach i odpowiedziach, po przywitaniach z innymi kolegami, których on tu

spotkał — zaczęliśmy przeglądać naszych przygód od owego czasu, kiedy pękła Linia Maginot; od Francji.

Mój Boże, ileż się tego nazbierało! Nie zdołalibyśmy zapewne wygadać się nawzajem, gdyby nie seria dni nielotnych, zasnuty deszczem i mgłą, jakie w Anglii unieruchamiają na ziemi wszystko co lata, a więc także i nasze maszyny. Dzięki tej niepogodzie usłyszałem te wszystkie historie, z których niemal każda zasługuje na opracowanie literackie.

Może kiedyś jeszcze powrócę do nich; może je napiszę. Dziś podaję tę, którą Franek opowiedział mi przed samym wyjazdem. Z której właściwie — zwierzył mi się.

Miał pewne wątpliwości, czy postąpił wówczas tak, jak był powinien. Czy nie ponosi winy; czy to, że jego ówczesna decyzja przyczyniła się do katastrofy, której był świadkiem, nie obciąża jego sumienia. Czy mógł był zapobiec tej tragedii, po której nie chciał już nadal latać na afrykańskim szlaku, aby nie stanąć oko w oko z człowiekiem, który ją przeczuwał.

* * *

— Przylecieliśmy do Wadi Halfa po sześciu i pół godzinie od chwili startu z El Obeid — mówił Franek. — W samo południe. Cały konwój — sami Anglicy. Tylko moja załoga była polska. Pierwszy raz wtedy mnie, Polakowi, powierzono takie zadanie: przeprowadzić tych dziewięciu z Takoradi do Kairu, i to w możliwie krótkim czasie, bo maszyny potrzebne były na gwałt.

Z Anglikami nie ma kłopotu: indywidualistami to oni nie są, rozumiesz. Każdy ściśle robi, coś mu kazał i co do niego należy. *Tylko to*, co do niego należy; ani o cal więcej! Ale możesz być pewien, że nikt nie zboczy z trasy, którą ich prowadzisz, że nie wejdzie wyżej i nie zejdzie w dół, żeby się przyglądać stadom słoni, czy też antylopom; że konwój jest w porządnym, równym szyku, tuż za twoją maszyną.

Tak było i tym razem: kiedy zamknąłem gaz, żeby zniżyć się nad Wadi Halfa i gdy obejrzałem się za siebie w skręcie — dziewięć samolotów uszykowanych w strzałę kładło się w skręt za mną.

Rzucalo mocno, nawet na znacznej wysokości, ale przynajmniej było chłodno. Dopiero teraz, kiedy zbliżaliśmy się ku ziemi, poczułem gorący, suchy dech wiatru.

Na wysokości tysiąca stóp zwiększyłem znów obroty i — okrążywszy lotnisko — zaszedłem do lądowania od południowego wschodu, pod ten wiatr, który wiał z libijskich piasków, jak przezroczysty, bezbarwny płomień.

Otrzymałem zezwolenie lądowania, wypuściłem podwozie, otworzyłem klapy i usiadłem gładko na smołowcowym runway'u. Gdy skręcałem na perimetr, już siadał następny, a nim dokołowałem do punktu zaopatrzenia w benzynę, wylądowali wszyscy.

Wyszedłem z kabiny mokry od potu i już spragniony, choć w powietrzu wcale nie chciało mi się pić. No i zaraz natknąłem się na group-captaina Wilkinsona...

Ten Wilkinson jest komendantem stacji w Wadi Halfa, rozumiesz. Znam go od paru lat, ale właściwie nic o nim nie wiem. Nie wiem nawet w jakim jest wieku: może równie dobrze mieć lat 45 jak 60. Jest zawsze jednakowy: wyraża się ostrożnie, zawsze w trybie warunkowym; zawsze się uprzejmie uśmiecha; zawsze zaczyna rozmowę od pogody, z której poważnie wydaje się być zadowolony; nigdy nie pije i nie mówi o sprawach osobistych; zawsze, ilekroć wylądujesz w Wadi Halfa, jest na lotnisku.

Nie wiedziałem, czy ma jaką rodzinę; wątpię czy ma przyjaciół, lub choćby kolegów, z którymi łączyłyby go bardziej zażyłe stosunki. Nigdy nikogo z pilotów nie prosił o załatwienie czegokolwiek, o zabranie jakiegoś listu, o przywiezienie jakiegoś sprawunku.

Zdaje mi się, że musi być od dawna w Afryce, ale wątpię, aby chorował na febrę albo na malarię. Słynne w całym Sudanie i Egipcie moskity i maleńkie dokuczliwe muszki z bagnistych zalewów Nilu w Wadi Halfa nic a nic mu nie szkodzą, jakkolwiek ostrzega przed nimi niedoświadczone załogi.

Siedzi na tej stacji chyba od początku wojny i zawsze, *zawsze* jest taki sam. Jak jakiś sprzęt, czy może raczej — jak jeden z masztów radiostacji, bo sprzęty i budynki częściej się tu zmieniają. On trwa; należy do stałych, niezniszczalnych urządzeń tego portu lotniczego...

Więc, naturalnie, wcale się nie zdziwiłem, zobaczywszy go wysiadającego z samochodu, którym przyjechał na nasze spotkanie. Wiedziałem także z góry, że przywita mnie jak zwykle zdawkowym „how are you?” i stwierdzi mimochodem, że „skłonny byłby myśleć, iż pogoda jest raczej przyjemna”.

Dotąd przewidywania mnie nie zawiodyły. Ale bezpośrednio potem Wilkinson oświadczył, że „obawia się, iż mógłby mieć do mnie prośbę”. Jest mu strasznie przykro, że zaraz na wstępie mi to mówi, lecz takie właśnie polecenie otrzymał z Khartumu...

Powiedziałem — nieco zbyt pochopnie — że jak najchętniej spełnię każdą jego prośbę, i dopiero wówczas przyszło mi na myśl, że nie będzie to żadna sprawa natury prywatnej, skoro Wilkinson wspomina o „poleceniu z Khartumu”.

Nie omyliłem się niestety... (Tak przynajmniej zdawało mi się z początku). Chodziło o to, żeby pomóc w poszukiwaniach samolotu zaginionego na szlaku Khartum-Wadi Halfa. Pilot tego samolotu odłączył się od konwoju, który wczoraj wyleciał z Khartumu. Zapewne wylądował gdzieś w promieniu stu mil od Wadi Halfa. Dotąd nie ma o nim żadnej wiadomości.

Chciałem zapytać, dlaczego koledzy z tamtego konwoju nie zatroszczyli się o jego losy, ale Wilkinson uprzedził moje pytanie.

— To moja wina — powiedział. — Myślałem, że lepiej będzie poczekać: może sam wróci do Khartumu, może przyleci tu? Zresztą nie miałem rozkazu, żeby użyć pilotów z tamtego konwoju do poszukiwań. Dziś dostałem depezę, że jeśli pan się zgodzi, to mógłbym prosić, żeby pan spróbował nam pomóc.

Cóż było robić? — Zgodziłem się już zawczasu...

Wiedziałem, że nie mogę liczyć na moich Anglików w czasie tych poszukiwań: nie zaryzykowałbym tego, bo po pierwsze sami pogubiliby mi się w pustyni, szukając zaginionej maszyny, po wtóre zaś — wszyscy byli zmęczeni lotem i należało dać im wypocząć przed startem do Kairu. Do Kairu bowiem, tak czy inaczej, chciałem dolecieć jeszcze tego samego dnia.

Podczas gdy jedliśmy śniadanie, dolano nam benzyny i smarów. Mój nawigator, kapitan Brumer, i radiotelegrafista, sierżant Leśniak, odnieśli się bez najmniejszego entuzjazmu do tego lotu. Brumer głośno klął po polsku, sierżant zaś wyrażał się ujemnie o zaginionym i jego przodkach w linii żeńskiej. Kiedy jednak powiedziałem, że polecę sam, obaj zaprotestowali stanowczo: załoga musi lecieć razem i w ogóle nie ma o czym gadać.

Pojechaliśmy z group-captainem z powrotem z messy na lotnisko. Dochodziła pierwsza po południu i straszliwy, ciężki upał, jak roztopiony olów lał się z góry na ziemię. Koszule i shorty natychmiast przylepiły się do naszych ciał; spod tropikalnych hełmów pot spływał nam po twarzach. Samolotu nie można było dotknąć gołą dłońią, tak był rozgrzany słońcem. Wewnątrz kabiny panował żar, jak w piecu. Nie było czym oddychać. Zapach farby, werniksu i kleju dusił, drażnił wyschnięte gardło. Oparcie fotela parzyło w plecy.

Bolała mnie głowa, oczy piekły, a język i wargi miałem jak z tektury. Tętna waliły w skroniach. Smarzyłem się żywcem.

Silniki długo nie chciały zaskoczyć. Gdy wreszcie ruszyły, pęd powietrza nie przyniósł nam spodziewanej ulgi: był jak ciąg ognia w przewodzie od paleniska do komina.

Ruszyłem na start i dokołowawszy do skraja runway'u, dałem pełny gaz. Maszyna wolno nabierała pędu, leniwie reagując na wychylenia sterów. Nie chciała się oderwać od ziemi: rozrzedzone powietrze nie stwarzało dostatecznego wyporu pod skrzydłami. Dopiero u końca wybiegu podwozie przestało dobijać, i poczułem, że lecę.

Rzuciło raz i drugi na skrzydło tuż nad lotniskiem. Omal nie zawadziłem o jakiś barak. Nad rzeką szarpnęło w górę, zahybotano, puściło. Nierówny, wyboisty, pełen przerw i uskoków nurt powietrza tańczył, wyginał się, umykał, wspinał się i przepadał pod samolotem.

Lecieliśmy na południowy zachód, zostawiając Nil po lewej stronie. Pot lał się ze mnie strumieniem. Po chwili cały ręcznik, którym raz po raz wycierałem twarz i szyję, był mokry. Musiałem go wyrzucić.

Drugą Kataraktę mijalem na wysokości tysiąca stóp. Wkrótce potem zmieniłem kurs na południowo-wschodni i przeleciawszy na prawy brzeg Nilu, skierowałem się w stronę linii kolejowej, ku Nabardi.

Pod nami leżała pustynia. Olbrzymia, jednostajna, nieobjęta, szarozłota. Jakże na tych przestrzeniach znaleźć, dostrzec zagubiony samolot? Trzeba by na to kilku dywizjonów, nie jednej załogi. Trzeba by szukać przez tydzień, nie w ciągu kilku godzin.

O drugiej zobaczyliśmy połyskujące w słońcu szyny linii kolejowej między Abu Hamed a Wadi Halfa. Lecieliśmy dalej, kierując się na wschód, aż z daleka błysnęły tory odgałęzienia do Nabardi.

Brumer zapytał, czy nie wybieram się przypadkiem poprzez Morze Czerwone do Mekki, więc znów skręciłem na południe. I znów przecięliśmy tory kolejowe, aby wziąć kurs na zachód, w stronę Nilu i Trzeciej Katarakty.

Szukaliśmy. Zbaczaliśmy to w lewo, to w prawo, przecedzając wzrokiem gliniasto-szare dno przestrzeni nalanej słońcem — na próżno. Suchy, rzadko porośły krzakami i wypaloną ostrą trawą step, kamieniste, bezwodne łożyska dawno wyschłych strumieni, wydmy piaszczyste i splekana od upałów, spopielała ziemia — to wszystko, co można tam dojrzeć z góry. Ani śladu życia; ani śladu ludzi, czy choćby zwierząt; żadnego ruchu w tej mortwocie, w tej pustce żarzącej się pod niebem, z którego spada nieustanny potop blasku.

Było już po trzeciej, kiedy wzięliśmy kurs powrotny do Wadi Halfa. Leśniak dostał kilka namiarów radiowych, na których podstawie Brumer określił naszą pozycję. Znajdowaliśmy się dalej na południe niż przypuszczałem: jakieś 30 mil na wschód od Czwartej Katarakty, a zatem w pobliżu zwykłej trasy konwojów lotniczych. Do Wadi Halfa mieliśmy ponad 200 mil lotu. Mimo to, zbaczaliśmy jeszcze kilkakrotnie, łudzeni przez cienie kładące się na ziemi od głazów i krzewów, które wydawały się z daleka podobne kształtem do samolotu.

Wracaliśmy przygnębieni i źli, jakkolwiek byliśmy przygotowani na to, że nasze poszukiwania tak właśnie się skończą. Myśl, że nas szukanoby też w ten sposób gdybyśmy lądowali przymusowo w pustyni — nie usprawiedliwiała nas wobec własnych sumień. Z drugiej jednak strony — główną winę ponosił tu dowódca tamtego konwoju: widocznie jego instrukcje nie były dość wyraźne, skoro nikt nie zauważył, że jeden z samolotów odłącza się od szyku. Powinni byli ustalić, gdzie lądować; namierzyć tę pozycję; wysłać natychmiast pomoc.

I ten Wilkinson! „Przypuszczał, że lepiej będzie poczekać; nie miał rozkazu”... Pomyślałem, że ten wysłużony oficer, zasklepiony w sobie, odgradzony od wszelkich uczuć przepisami służbowymi i zdawkową uprzejmością, pozbawiony wyobraźni — istotnie bardziej przypomina jakiś mechanizm lotniskowy, niż człowieka z sercem i z duszą. Że zapewne

nigdy nie kochał nikogo, nie miał żadnej bliskiej sobie istoty, nie współczuł żadnej niedoli; że i teraz bynajmniej nie przejmując się losem tego nieszczęsnego pilota, który zapewne już cierpi z pragnienia i głodu — sam jeden, bez ratunku pozostawiony w pustyni. Jutro group-captain Wilkinson napisze raport, że zarządzone przez niego poszukiwania nie dały wyniku. Być może — komendant portu w Khartumie poleci dowódcy następnego konwoju, by zwrócił specjalną uwagę na szlaku przelotu do Wadi Halfa w związku z maszyną zaginioną przed tygodniem. Być może nawet, że któryś z pilotów tego konwoju dostrzeże ją na ziemi — ale będzie już za późno. A Wilkinson przywita ów konwój jak zwykle uwagą o pogodzie, „co do której myśli, że mógłby powiedzieć, iż jest raczej piękna”. Tymczasem zaginiony pilot będzie konał w katuszach pragnienia. Ekspedycja ratunkowa na samochodach znajdzie wysuszone jego zwłoki o kilka mil od samolotu, w miejscu, gdzie padł z wyczerpania w poszukiwaniu wody.

— Jak on się nazywa, ten pilot? — zapytał nagle Brumer, wpadając w tok moich myśli.

Wzruszyłem ramionami:

— Nie wiem. Cóż to ma do rzeczy?

— Nic — mruknął. — Młody chłopak?

— Zdaje się, że tak — powiedziałem niepewnie. — Musiało mu nawalić radio, bo nie wysłał żadnych sygnałów — dodałem.

— Mógł się od razu grobnąć przy lądowaniu — zauważył Leśniak. — To by jeszcze było dla niego najlepsze. Zdychać tu, w tym upale, bez wody... Ja bym wolał od razu.

Żaden z nas nie podjął już tego tematu, ale wydaje mi się, że nasze myśli nadal płynęły wspólnym torem: ileż załóg polskich i brytyjskich pochłonął ten dziki szlak lotniczy Transport Command!...

Nazwiska i twarze wylaniają się z pamięci, zbliżają się odchodzą...

Oto sierżant St. Mikołajczyk — wesoły, dzielny chłopak. Wylądował, zabłądziwszy nad pustynią podczas burzy piaskowej między Habanya a Shaiba — zaledwie o dwie do dwu i pół godziny lotu od wybrzeża. Uszkodził samolot i radio przy lądowaniu, ale nie tracił nadziei, że będą go szukać; że go odnajdą. Istotnie, szukali go bardzo sumiennie przez dziewięć dni, podczas których pisał notatki o swych doznaniach, o samopoczuciu fizycznym i duchowym, o brakach w ekwipunku na wypadek przymusowego lądowania, o tym jak oszczędzać wodę i żywność, jak się zachowywać, by nie tracić sił... Pisał dla innych, bo znaleziono go za późno.

Oto b. Wing-Commander MacDonald, który latał w czasie poprzedniej wojny, jako myśliwiec i dowodził grupą myśliwską, a od roku 1940 służył w Transport Command w stopniu porucznika. Siwy, pięćdziesięcokilkuletni człowiek, o niespożytej energii i żywotności. Zwalił się z maszyną w puszczy nad jakimś dopływem Nigru. Nie szukano go nawet: tam nie można ani dojechać, ani dopłynąć, ani dojść...

Kapitan Grodzki i chorążcy Biały... Ci zginęli w morzu, na południe od Wybrzeża Niewolników. Pod Forte Nova fale wyrzuciły na plażę ich ratunkową łódkę gumową i szczątki samolotu.

Ten młody Australijczyk, który latał dwukrotnie z polskimi konwojami — jakże on się nazywał? — zginął między Maiduguri a Fortem Lami. Nie znaleziono go nigdy...

Ten konwój brytyjski — sześć samolotów — który podczas burzy minął Wadi Halfa i z braku benzyny wylądował o sto mil dalej, w Pustyni Libijskiej... Jego dowódca kazał przelać resztki paliwa do jednego samolotu i polecał szukać lotniska. Polecał na północny wschód — 50 mil, i zawrócił, aby spróbować w przeciwnym kierunku. Gdy i tu nie znalazł nic, co wskazywałoby drogę ku Nilowi — zawrócił znowu. Dotarł do swego konwoju i wylądował z pustymi zbiornikami. Przez tydzień oczekiwali pomocy, która nie nadchodziła. Potem ludzie nie chcieli już cierpieć:

znaleziono ich jedenastego dnia z kulami rewolwerowymi w skroniach. Tylko jeden podoficer-mechanik nie popełnił samobójstwa: oszczędzał wodę; pił po parę kropel dziennie i wytrwał. On powiedział, co i jak się stało.

Twarze młode i twarze ludzi starszych. Uśmiechy, spojrzenia, ruchy głowy. Sylwetki, głosy, imiona i przezwiska, już zacierające się z biegiem czasu. Ci wszyscy, którzy zostali na szlaku z Takoradi do Kairu; ci, co nie powrócili z Arabii, co zginęli w piaskach Dehna, na wybrzeżu Makran i dalej na trasie indyjskiej, aż po Burmę...

Myślałem o nich, wracając z daremnych poszukiwań tego, który wczoraj zaginął w Pustyni Nubijskiej; któremu group-captain Wilkinson wahał się wysłać pomoc natychmiast...

Moja załoga i ja sam byliśmy nieludzko zmęczeni. Niemal dziesięć godzin lotu, z czego połowa w najgorętszej porze dnia, to maksimum wysiłku, na jaki można się tu zdobyć. Toteż gdy znów ogarnął nas żar bijący od ziemi podczas gdy wypuszczałem podwozie zniżając się nad lotniskiem w Wadi Halfa — jedynym moim marzeniem było napić się herbaty i odpocząć bodaj przez godzinę.

Z trudem zdobyłem się na uśmiech i przyjazny gest dłonią w odpowiedzi na niezwykle żywe powitanie mechanika z brygady obsługującej naszą maszynę. Kiedy mijaliśmy go na perimetrze, usiłował powiadomić nas o czymś na migi i kilkakrotnie pokazywał kciuki obu rąk odgięte w górę.

— Czegóż on się tak cieszy? — mruknął Brumer.

— Pewnie myślał, że i my zabłądzimy — powiedział Leśniak. — Dopiero mieliby kłopot, co zrobić z naszym konwojem!

Ale zaraz się okazało, że chodzi o coś zupełnie innego. Nasz mechanik z rozpromienioną gębą podsunął nam schodki do drzwi gondoli i niepytany, sam zwrócił się do mnie:

— Ten pilot się znalazł, sir. Przyleciał tu o wpół do drugiej, wkrótce potem jak pan wystartował, żeby go szukać.

Spojrzeliliśmy po sobie.

— Ten, któregośmy szukali? — spytał Brumer.

— Yes, sir. Lądował w pobliżu Kosha, nad samym brzegiem Nilu. Silnik tak mu się zagrzał, że bał się lecieć dalej z konwojem i wylądował. Radio miał też uszkodzone, więc nie mógł natychmiast porozumieć się z dowódcą, ani z nami. A dziś zaryzykował i przyleciał. To tylko 110 mil, sir. Group-captain Wilkinson omal go nie udusił z radości.

— Co takiego?! — spytaliśmy wszyscy trzej na raz.

Mechanik zmieszał się, ale nie próbował złagodzić tej rewelacji:

— Tak jest, sir. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego. Przecież pan zna naszego group-captaina... He is a very calm gentleman, sir. Bardzo opañowany, i nie lubi okazywać żadnych wzruszeń. Ale tym razem... To było coś — coś zupełnie nadzwyczajnego. I mówił do niego: Jim. „Jim, mój drogi” — sam to słyszałem, sir.

Muszę przyznać, że byłem niemal tak samo zdumiony tym dziwnym zachowaniem się Wilkinsona, jak nasz mechanik. Nie mogło mi się pomieścić w głowie: aby ten służbowy automat, nastawiony na zdawkową uprzejmość i uregulowany według przepisów Royal Air Force, nagle zaczął działać pod wpływem impulsów tak bardzo obcych jego naturze. Fakt, że nie było go na lotnisku, że nie oczekiwał nas jak zwykle na miejscu postoju samolotu — podkreślał jeszcze niezwykłość tego postępowania.

— Może to nie Wadi Halfa? — powiedział Brumer kręcąc głową.

Ta jego wątpliwość rozwiązała się zresztą zaraz, gdy pojechaliśmy do messy: było już po podwieczorku i — zgodnie z King's Regulation — nie dano nam herbaty. Porządek zaprowadzony przez komendanta stacji działał automatycznie i bezwzględnie, mimo wszelkich odchyień psychicznych, jakim nawet Wilkinson mógł podlegać.

Szczerbiec zdużyliśmy jeszcze wypić coś w barze, który był dłużej otwarty. Tam właśnie zastał nas adiutant stacji, Bob Griffith, wysłany przez Wilkinsona, który chciał mnie zobaczyć i prosił, żebym przyszedł do jego kancelarii. (I to także było niezwykle: Wilkinson nigdy nie wzywał do siebie dowódców konwojów. Był zbyt uprzejmy, aby to czynić. Ale po jego wybuchu wzruszenia z powodu przylotu owego Jima, nie można się już było niczemu dziwić.)

— Nasz stary zupełnie stracił głowę — powiedział do mnie Griffith, zamówiwszy kolejną whisky z lodem. — Niech pan sobie wyobrazi, że depesza z Kosha leżała na jego biurku od godziny jedenastej rano. Widocznie jej nie przeczytał, albo nie zrozumiał o co chodzi, skoro wysłał was na poszukiwania.

— Depesza z Kosha? — powtórzyłem zdumiony.

— Ależ tak — roześmiał się adiutant. — Depeszował stamtąd postereunek, że Blenheim, który lądował tam wczoraj, wystartuje do Wadi Halfa w południe. Sam tę depeszę odbierałem i naturalnie zameldowałem o tym staremu. Kazał sobie przysłać tekst, bo ja zaraz miałem jechać do dowódcy tutejszego garnizonu. No więc posłałem mu tę depeszę, a kiedy wróciłem na lotnisko, wyście już wystartowali szukać wiatru w polu.

— Dlaczego w takim razie nie porozumieliście się z nami przez radio? — zapytałem. — Przecież można było odwołać nas z drogi.

Griffith wzruszył ramionami.

— Mówię panu, że komendant stracił głowę. Zamknęli się we dwóch z tym pilotem i nikomu nie wolno tam wchodzić. Tylko pana kazał prosić, jak pan wróci. Jak długo znam group-captaina Wilkinsona, nic podobnego się nie zdarzyło — dodał. — Niech pan tam idzie: on na pana czeka.

Poszedłem więc do baraku obok messy, gdzie mieściła się komenda stacji i zapukałem do drzwi pokoju Wilkinsona. Sam mi otworzył i zaraz w progu zaczął mnie przeproszać za to, że niepotrzebnie straciliśmy tyle godzin w powietrzu, spełniając jego prośbę.

— Bardzo mi przykro — powtarzał. — Bardzo, bardzo mi przykro. Miałem takie polecenie z Khartumu, rozumie pan, i tylko dlatego...

Powiedziałem, że nie ma o czym mówić i ciekawie spojrzałem w głębi kancelarii, gdzie przy otwartym oknie stał młody, najwyżej dwudziestoletni chłopak z naszywkami Flying Officera.

Wilkinson natychmiast spostrzegł moje zainteresowanie.

— To jest właśnie ta zguba, która się znalazła — powiedział, zwracając się w stronę pilota. — Flying Officer Wilkinson.

— How do you do — rzekł Jim Wilkinson.

— How do you do — odpowiedziałem, usiłując nie okazywać jak bardzo zaskoczyło mnie to nazwisko.

— Myślę, że powinienem we własnym imieniu podziękować panu za szukanie mnie na pustyni — mówił stylem starszego Wilkinsona Wilkinson junior. — Daddy był zdaje się raczej niespokojny o moje losy... Nie widzieliśmy się od czterech lat i dad ciągle jeszcze traktuje mnie jak dziecko.

Daddy! Tatuś-Wilkinson! Nie — czegoś podobnego nie oczekiwałem...

— Dlaczego pan nam nie powiedział, że chodzi o pańskiego syna? — zapytałem. — Przecież to zupełnie — zupełnie...

— Nie widzę w tym żadnej różnicy — przerwał mi group-captain (wyjątkowo w trybie oznajmującym, nie warunkowym, do którego zresztą natychmiast powrócił). — Obawiam się, iż powinienem myśleć, że posiadanie syna jest sprawą raczej prywatną. Natomiast zaginięcie Flying Officera Wilkinsona w czasie konwoju byłbym skłonny traktować służbowo. Jeśli pan nie ma nic przeciw temu, byłbym bardzo rad, gdyby pan zechciał pozwolić Flying Officerowi Wilkinsonowi przyłączyć się jutro do waszego konwoju.

Powiedziałem, że oczywiście nie mam nic przeciw temu, żeby Flying Officer poleciał z nami, lecz że chcę lecieć jeszcze dzisiaj, natychmiast.

Wilkinson-ojciec zdawał się być zaskoczony tą moją decyzją.

— Czy nie sądzi pan, że jest za późno? — zapytał po sekundzie wahania.

Zirytywało mnie to pytanie. Miałem ochotę odpowiedzieć, że gdyby od razu wezwano nas przez radio do powrotu, mógłbym nie tylko wcześniej wyruszyć do Kairu, lecz również zjeść podwieczorek — ale pohamowałem się. Uświadomiłem sobie, że przecież ten człowiek od czterech lat nie widział syna; że w ciągu całej doby uważał go za zaginionego w pustyni; że ten syn jest — być może — jedyną drogą mu osobą na świecie, i że ma go przy sobie zaledwie od kilku godzin, a teraz musi się z nim rozstać.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Wydało mi się, że nagle postarzał i zmalał, jakby skurczył się, czy przygarbił. Że dzieje się z nim coś, czego nie mogę zrozumieć, a co on za wszelką cenę chciałby ukryć przede mną i jak gdyby obawiał się, że nie zdoła. Przyszło mi na myśl — to było najprostsze — że chciałby zatrzymać tego swojego Jima choćby jeszcze przez noc na stacji; nacieszyć się jego obecnością.

To była oczywiście sprawa prywatna („a private affair” — jak to Wilkinson określał); w dodatku sprawa uczuciowa. Ale krzyżowała się z nią inna. Wszystkie polecenia i instrukcje nakazywały pośpiech dowódcom konwojów. Komendanci stacji powinni byli przyczyniać się do tego pośpiechu w miarę rozporządzalnych środków i możliwości. Dobro służby wymagało więc, aby mój konwój jak najprędzej dotarł do Kairu, a Jim Wilkinson powinien był lecieć z nami.

Group-captain wiedział o tym doskonale; wiedział, że ja o tym wiem również dobrze. Szukał więc racji *slużbowych*, aby pogodzić swoją „private affair” z obowiązkiem; żeby wobec siebie samego usprawiedliwić to opóźnienie.

Czy umyślnie zaniechał odwołania nas z drogi, kiedy polecieliśmy szukać jego syna? Czy wysłał nas na te poszukiwania, wiedząc, że Jim w tym samym czasie startuje z Kosha? Czy liczył na to, że będę zbyt wyczerpany dziesięciogodzinnym lotem, aby jeszcze tego samego dnia poprowadzić konwój dalej?

Nie umiem odpowiedzieć na te pytania. Nie śmiałybym zarzucić Wilkinsonowi czegoś podobnego. Sam bym w to nie uwierzył, gdyby kto inny tak twierdził. A jednak... Jednak to wszystko było dziwne...

— Czy nie byłoby lepiej — powiedziałem głośno zwracając się do Jima Wilkinsona — gdyby pan zaczął w Wadi Halfa na następny konwój, do którego mógłby się pan przyłączyć? Wydaje mi się, że należałoby dokładnie przejrzeć silniki przy pańskim Blenheimie po tym przymusowym lądowaniu.

— Silniki są w porządku — odrzekł Flying Officer wymijająco.

— Well — powiedział group-captain — ale stąd do Kairu jest 600 mil. Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz przerwało mu pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytał ostro.

Był to Bob Griffith.

— Komunikat meteorologiczny, sir — powiedział, podając formularz zapisany ołówkiem.

Wilkinson szybko przebiegł wzrokiem kolumny cyfr i prognozę. Twarz rozjaśniła mu się jakby.

— No widzi pan — zwrócił się do mnie. — Zresztą niech pan sam zobaczy.

Wziąłem papier, który mi podał, i przeczytałem uważnie. Prognoza nie była zachęcająca: z południa szła niewątpliwie burza. W Khartumie już wiał chamsin; posterunki w Berber i Abu Hamed ostrzegały o jego nadejściu. Assuan przepowiadał zawieruchę...

— To może potrwać z tydzień — pomyślałem. — Trzeba się śpieszyć.

Podniosłem wzrok na Wilkinsona.

— Muszę istotnie natychmiast startować, sir. Myślę, że syn pana lepiej zrobi, jeśli nie poleci z nami.

Group-captain zwiesił głowę, jak człowiek, który usłyszał nieodwołalny wyrok.

Przez chwilę milczał. Wreszcie opanował się z widocznym wysiłkiem. Przegarnął palcami siwiejącą czuprynę i odetchnął głęboko.

— Jak myślisz? — zapytał spojrzawszy niepewnie na syna.

— Myślę, że powinienem polecić — odrzekł Jim Wilkinson.

* * *

Start był w tym samym kierunku, co w południe, choć w powietrzu panowała teraz zupełna cisza, jak zwykle przed nadchodzącą burzą. Upał nie zmniejszył się wcale, jakkolwiek słońce już przed kilku godzinami minęło zenit i zaczynało skłaniać się ku zachodowi.

Dwadzieścia dwa silniki grały u skraja runway'u. Jedenaście Blenheimów stało jeden za drugim uszykowanych w schody, oczekując na sygnał zielonym światłem.

Zarządziłem start „od końca”, tak że pierwszy i drugi ze startujących mieli w powietrzu zająć końcowe miejsca w szyku, ja zaś — jako prowadzący — miałem wystartować ostatni. Jim Wilkinson był tuż przede mną, ponieważ chciałem go mieć w szyku zaraz za sobą, po lewej ręce. Na miejsca końcowe w locie (a pierwsze przy starcie) wyznaczyłem dwu najbardziej doświadczonych oficerów. Mieli czekać na zebranie się i uporządkowanie całego konwoju, krążąc nad lotniskiem.

Group-captain Wilkinson stał obok swego samochodu z lewej strony runway'u, tuż przy perimetrze. Patrzył w kierunku startu, na rzekę, która złociła się w słońcu i zdawała się płonąć, przestaniając swym blaskiem rozległą wieś arabską na drugim brzegu. Był zamyślony: jakby nieobecny. Dopiero potężny ryk pierwszego z Blenheimów, który na pełnym gazie ruszył do startu, wyrwał go z tego zapatrzenia: odwrócił się gwałtownie i podniósł obie ręce, jakby w obronie, czy może w beznadziejnym proteście przeciw czemuś, czemu już nie mógł zapobiec.

Blenheim nabierał pędu, a Wilkinson z tymi do połowy wzniesionymi rękami spoglądał w ślad za nim, póki nie zawyły silniki następnego. Wtedy znów odwrócił się ku nam i znów przeprowadził go wzrokiem podczas długiego startu. Tak kolejno patrzył na start każdego, w tej dziwnej, nienaturalnej — powiedziałbym — teatralnej pozie, aż kiedy ruszył Blenheim jego syna, opuścił ręce i oparł się o drzwi samochodu, jakby mu zabrakło sił.

Widziałem, jak Jim Wilkinson, mijając go, wysunął dłoń przez odwietrznik w osłonie kabiny. Group-captain też zapewne dostrzegł ten pożegnany gest, bo sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dużą białą chustkę, ale oczywiście za późno, aby Jim mógł zobaczyć jego sentymentalny sygnał. Tak już został mi w oczach, pochylony w przód, z tą chustką szarpiącą się na wicherze, którą odrzucały w tył rozpędzone śmigła Blenheima.

Patrzyliśmy teraz obaj na rozpędzoną maszynę, czekając, aż się oddzieli od runway'u: Wilkinson — stojąc na ziemi, ja — siedząc za sterem. Jim zaś wybierał ją powoli i płynnie, póki nie wyszła w górę na krótko przed końcem lotniska, po czym zaraz zaczął wciągać podwozie nad tą złocistą aureolą bijącą od rzeki.

Właśnie kładłem rękę na dźwigni od gazu, gdy z jego prawego silnika buchnął dym.

— Pali się! — zawołał Brumer.

W mgnieniu oka uświadomiłem sobie sytuację pilota: był nad samym środkiem Nilu; przed sobą i na lewo miał tę wieś. Powinien by skrócić w lewo, (bo lewy silnik działał normalnie) i lądować poza wsią na polach. Ale widocznie obawiał się, że nie zdoła dociągnąć nad dachami, bo po-

chylił maszynę do prawego skrzytu — w stronę, gdzie otwierała się wolna przestrzeń tuż nad brzegiem rzeki.

To go zgubiło: Blenheim chętnie — aż nazbyt chętnie — położył się w głęboki wiraż, nagle śliznął się na skrzydło i runął w dół. Z miejsca, na które się zwałił, trysnął wysoki słup ognia i uniosła się kolumna czarnego dymu.

Nie miałem żadnych wątpliwości: trup na miejscu...

Nie czekając na sygnał do startu, dałem pełny gaz. Chciałem zagłuszyć wszystkie myśli, które w tej samej chwili rzuciły się na mnie, jak stado wron na jastrzębia. Chciałem uciec stamtąd jak najprędzej: nie widzieć starego Wilkinsona; nie pozostawać ani minuty dłużej na tym lotnisku; nie słyszeć tej wrzawy, która powstaje gdy rusza samochód sanitarny i zaczynają dzwonić wozy pożarnicze. Chciałem natychmiast znaleźć się w powietrzu, na czele mego konwoju, by tam dopiero ochłonąć i opanować się jakoś.

Start trwał strasznie długo: zdawało mi się, że śmigła pracują w próżni i w ogóle nie ciągną; że nigdy nie zdołam oderwać maszyny.

Ale oderwałem ją wreszcie.

Słońce wprost z rzeki strzeliło mi w oczy i zgasło, pograżając mnie wśród czerwonych i zielonych kręgów, które wirowały w ciemności. Dzięki temu chwilowemu oślepieniu nie mogłem dojrzeć płonących szczątków samolotu Jima. Dopiero w skrycie usłyszałem, jak Brumer powiedział do Leśniaka:

— Nic z niego nie zostanie. Rozwaliło zbiorniki.

A Leśniak mruknął:

— Ależ się pali — rany Boskie!

Te uwagi wydały mi się niemal oskarżeniem pod moim adresem.

— Dajcie mi kurs wprost na Kair — powiedziałem ostro. — Nie ma czasu na gorzkie zale!

Brumer odparł cierpko, że kurs wprost na Kair jest ten sam, co wprost na Asyut, i nic a nic się nie zmienił od ostatniego razu: wynosi równo dwa stopnie. Potem zapadł milczenie. Wziąłem szeroki skręt w lewo i czekałem aż wszyscy dołączą.

Potem — pozostawiając lotnisko daleko na prawo — poleciliśmy na północ...

Z Kairu wysłałem do Wilkinsona kondolencyjną depezę, sprawdziwszy uprzednio, że Jim istotnie zginął. W dwa czy trzy dni potem dostałem krótki list z konwencjonalnym podziękowaniem za słowa współczucia. Od tego czasu nie widziałem Wilkinsona: nie byłem ani razu w Wadi Halfa, i myślę, że już tam nigdy nie będę.

Podobno group-captain nie wiele się zmienił: jak dawniej, zawsze jest na lotnisku podczas lądowania i startu konwojów; jak dawniej, mówi o pogodzie, nie pije i nie choruje. Wydaje się być zadowolony ze swej pracy i ze stanowiska, które zajmuje. Tylko teraz — raz w tygodniu — wyjeżdża na pobliski cmentarz i spędza tam parę godzin.

Mimo to, czuję, że nie umiałbym mówić z Wilkinsonem o pogodzie; nie potrafiłbym w ogóle z nim rozmawiać; nie zdobyłbym się na to, aby wyciągnąć do niego rękę na powitanie i spojrzeć mu w oczy. Dlatego porzuciłem służbę w Transport Command; dlatego jestem tutaj, w Anglii: myślę, że on tu nigdy nie przyjedzie...





Rys. J. KONARSKA

ITZIK MANGER

NA DRODZE STAŁO DRZEWO

Na drodze stało drzewo,
Pochyle drzewo nad rzeką,
A wszystkie ptaki z tego drzewa
Odleciały gdzieś bardzo daleko.

Trzy na Wschód, trzy na Zachód,
A reszta w południową stronę.
I zostawiły na pastwę burzy
Drzewo osamotnione.

Rzekłem matce: „Słuchaj mammo,
Starczy jedno oka mgnienie,
Jeśli tylko nie przeszkodzisz
W małego ptaka się zmienię.

I usiądę na tym drzewie
I kołysząc się łagodnie
Będę w mroźnym drzewa śpiewie
Śnieżną śnił melodię”.

Rzekła matka: „O mój Boże”
I zapłakała rzewnie.
„Uważaj mój synku, ty możesz
Zamarznąć na tym drzewie”.

„Szkoda twoich oczu mammo,
Jednym błyskiem, jednym znakiem
Starczy jedno mgnienie oka
A stanę się małym ptakiem”.

Płacze matka „Itzik drogi,
Ja tego chyba nie przeżyję,
Przecież ty się zaziębisz,
Weź ciepły szalik na szyję.

No już trudno, jak musisz być
[ptakiem,
To bądź, ale jedno cię proszę.
Żebyś wziął baszлык na głowę,
I na nogi włożył kalosze.

I ciepły sweter zimowy
Weź synku, mój synku szalony
Jeśli nie chcesz zejść w gościńcę
Do zmarłych i pogrzebionych”.

Podniosłem skrzydła, były ciężkie.
I natężyłem siły do ostatka,
Ale zbyt wiele rzeczy na me skrzydła,
Zbyt wiele włożyła matka.

I patrzyłem smutnie w jej oczy,
W oczy matki, której miłość była
[taka,

Że nie dała mi, nie pozwoliła
Zmienić się w ptaka.

*Z żydowskiego przełożył
Antoni Słonimski.*

BAYAMUS

(dokończenie*)

XII.

BOTTLE PARTY

Pokój był napchany ludźmi. Od pierwszej chwili czułem, że jest coś niezwykłego w nich wszystkich. Nie w ich zachowaniu (siedzieli spokojnie wokoło, na krzesłach, na poduszkach, lub wprost na podłodze), — lecz w nich, w nich samych. Ledwie wszedł jednak, gentleman stojący po środku pokoju wskazał mi krzesło, i odtąd cała moja uwaga, na początku przynajmniej, skierowana była wyłącznie na niego.

Na białej, obcistej części odzieży, sięgającej od ramion do pasa, nosił czarną odzież posiadającą dwa oddzielone od siebie ogony i po guziku nad każdym z nich. Dolna część jego ciała ukryta była w czarnej odzieży sięgającej od najwyższej części jego tułowia aż do kostek, i posiadającej oddzielne cylindryczne osłony, po jednej na każdą z dwóch jego nóg. W ten sposób 82 $\frac{1}{4}$ % powierzchni jego ciała osłonięta była od oczu za pomocą tkanin, jeśli zaś odjąć jeszcze i 5 $\frac{1}{4}$ % ukrytą w jego skórzanych butach, — okaże się że zaledwie 12 $\frac{1}{2}$ % powierzchni jego ciała pozostawało do oglądania. Te 12 $\frac{1}{2}$ % składało się wyłącznie z bardzo bladej skóry, pokrytej częściowo włosami posmarowanymi pachnącą maścią. Skóra otwarta była w wielu miejscach. Przez dwa z tych otwarć widać było jego gałki oczne, mianowicie: część sklerotycznej powłoki, posiadającej perłowo-białą powierzchnię zewnętrzną; rogówkę, przezroczystą i ukazującą tęczę, w której komórki zawierające pigment znajdowały się w takiej ilości, i były tak rozmieszczone, że dawały takie wrażenie koloru jakie daje jasne niebo niepokryte chmurami. Dwa inne otwory prowadziły do organu słuchowego. Dwa służyły za przewody do wciągania powietrza w płuca i do usuwania go z nich, oraz do przenoszenia cząsteczek zapachu do nerwu węchowego. Jeden zaś otwór, kiedy rozchyłały się wargi, ukazywał język, zęby, itd., służące do przenoszenia dźwięków oraz do zucia pokarmów.

Dużo różnych pierścieni nosił, złotych i srebrnych; w jeden z nich wprawiony był sygnet. Przylegały ściśle do skóry, w tych miejscach w których okrywała ona jego palce.

No tak, zdaję sobie sprawę z tego, że powyższy opis, dotyczący zaledwie paru szczegółów zaledwie 12 i $\frac{1}{2}$ % jego powierzchni dostępnej oczom, pasować mógłby równie dobrze do wielu innych osobników tego samego gatunku. Jednak, kiedy się na niego patrzyło, nie było widać tego co stanowiło jego bardziej osobistą cechę, chociaż to coś *powinno* było się w polu widzenia znajdować. Od pierwszego spojrzenia czułem, że powinien tam być czarny jedwabny cylinder w jego lewej ręce, w prawej zaś para białych rękawiczek i bat służący do poganiania koni w cyrku. Nie należy jednak, być może, klasyfikować swych współ-osobników według ich wyglądu. Znam rzeźnika (Londyn, W.9), który w kontynentalnych filmach mógłby z powodzeniem grać rolę wyrafinowanego arystokraty, i zgadzam się z tym, że wielu parów i członków Narodowej Partii Torysów zagrać mogłoby doskonałe rolę rzeźnika. Gentleman stojący pośrodku pokoju miał wygląd dyrektora cyrku, to co mówił nie miało jednak nic wspólnego z tym zawodem.

*) W poprzednich numerach *Nowej Polski*: BAYAMUS: 1. Theatrum Anatomicum; 2. Martwa Natura Z Czarnym Butem; 3. Palec W Ustach; 4. Trzecia Noga; 5. Historia Bayamusa; 6. Wrotki; 7. Mutacje; 8. Dom Z Czarnymi Kolumnami; 9. Je Sème à Tout Vent; 10. Rhododendron; 11. Teatr Poezji Semantycznej.

— Powtarzam, — rzekł, nawiązując widocznie do tego co mówił przed moim przyjściem, — Poezja Semantyczna jest także *przeciw* czemuś. Przeciw prowincjonalizmowi jest ona. Przeciw ograniczonemu horyzontowi intelektualnemu. Czy nie tak? — zapytał nagle, zwracając się wprost do mnie.

— Tak, — odpowiedziałem.

A wtedy, jak gdyby to moje „tak” wyrzeczone było przez starożytnego kapłana greckiego, natchnionego od bogów, moja opinia zaś nieomylna, spoglądał tryumfująco wokół i, wykonywując gest taki jakim dyrektorzy cyrku zwracają się do publiczności po udanym efektownym numerze, rzekł:

— Voilà!

Nikt nie odezwał się na to, ale wcale nie czekał na brawa.

— Znam czterdzieści sześć języków, — ciągnął dalej, — nie wszystkie z nich bardzo dobrze, potrafię jednak czytać z łatwością w czterdziestu sześciu językach. I zapewniam wszystkich tu obecnych, że literaturę rosyjską wolę czytać w angielskim przekładzie, angielską literaturę we francuskim, francuską w hiszpańskim, hiszpańską w niemieckim, niemiecką we włoskim, włoską w norweskim, norweską w portugalskim, portugalską w polskim, polską w żydowskim, żydowską w hebrajskim, hebrajską w rumuńskim, rumuńską w szwedzkim, szwedzką w tureckim. Kiedy czytam nie oryginał a przekład, mam to uczucie, że autor nie może mnie tak łatwo oszukać. Nie może uwieść brzmieniem swych słów, ani omamić prowincjonalnymi skojarzeniami. Czytając przekład mogę z zewnątrz oglądać wszelki „couleur local”, nie jak ktoś co sam w nim uczestniczy, nie jak ktoś kto urodził się w tej samej geograficznej, czasowej czy środowiskowej prowincji co autor, lecz tak jak ktoś co szuka obiektywnej wiedzy. Czy nie tak? — spytał znowu.

— Owszem... — odpowiedziałem.

— Voilà! — rzekł, zwracając się do reszty towarzystwa. I ciągnął dalej:

— Jesteśmy podzieleni, poziomo, pionowo i w poprzek, na prowincje i prowincje i prowincje. A jedno i to samo słowo rozmaite w każdej z nich wywołuje echa. I jest tak, że to właśnie owe echa, a nie same słowa, uważane są przez pisarzy i przez czytelników za najbardziej subtelne tworzywo poetyckie. Czy nie tak? — zatrzymał się znowu, czekając na moją odpowiedź.

— Tak, owszem... — odrzekłem; ociągając się, bo już mnie zaczynało irytować to jego ciągle zwracanie się do mnie abym żyrował wszystko co mówi.

— Voilà!

I ciągnął dalej:

— Język międzynarodowy nie rozwiązuje naszego zagadnienia. Język międzynarodowy usunąć może tylko fonetyczne i gramatyczne różnice jakie nas dzielą. Istnieją przecież jednak różnice wyższego rzędu, dzielące ludzi nawet tych, którzy mówią jednym i tym samym językiem. Niby ścieżki i aleje zarośnięte rozplenającym się chwastem, słowa używane przez nas zarastają naszymi indywidualnymi, osobistymi, prowincjonalnymi skojarzeniami, które zmierzają do zadławienia sensu. Nadają się one, być może, do celów polityki. Nadają się, być może, do prozy. Nie do poezji jednak, Ladies and Gentlemen,... — zawiesił głos na chwilę, aby dobitną pauzą podkreślić doniosłość swego twierdzenia. — Poezja, Ladies and Gentlemen, powinna być budowana z takich cegieł, które możliwe jak najmniejszym ulegają zmianom w ciągu wieków i poprzez granice. Winna rozciągać się nie tylko w czasie lecz i w przestrzeni, winna być nie tylko wieczna, lecz i międzynarodowa, międzyprovincjonalna, międzyso-bnicza; ludzka!

— Voilà! — wykrzyknął ktoś nagle z kąta pokoju.

I w tej chwili uwaga moja przeniosła się z mówcy na jego słuchaczy. Powiedziałem przedtem, że już na samym początku, kiedy tylko wszedł do pokoju, wydali mi się oni raczej dziwni. Jednak dopiero teraz uświadomiłem sobie dlaczego odniosłem to wrażenie. To były potwory. Ciała ich były w najbardziej fantastyczny sposób zdeformowane, wykazywały jednak taką organiczną konsekwencję swej budowy, że pewien byłem iż te ich deformacje nie były ani nabyte, ani nie były następstwem wypadków, chorób, czy też życia w nienormalnych warunkach, związanych z wykonywaniem jakiegoś specjalnego zawodu, i że nie były świadomie wymyślonym zniekształceniem, dokonanym pod dyktando obyczaju, religii, itd. — lecz że były wrodzone.

Był tam pewien starszy pan nie wyższy niż 73 cm.; kobieta mająca oba oczy osadzone w jednym, pojedynczym, „centralnym” oczodole; Chińczyk — olbrzym nie niższy niż 2 metry 75 cm.; kobieta w średnim wieku, posiadająca długą siwą brodę, wąsy i bokobrody; człowiek któremu głowa rosta pomiędzy ramionami; młoda dziewczyna o osobliwie niesymetrycznej twarzy; bliźniaczki o klatkach piersiowych połączonych za pomocą wiązadła mięsnego; i dopiero teraz zauważyłem że młody człowiek, którego poznałem przednio w Teatrze w towarzystwie pani w czerwonej sukni, miał po siedem palców u każdej z rąk, — a już nawet wyobrazić sobie nie mogłem tych wszystkich anomalii jakie ukryte musiały być pod ich ubraniami, skrojonymi na sposoby nigdy nie widziane w żadnych żurnalach mód, żadnych czasów ani krajów. „Być może”, rzekłem sam do siebie, „być może, że moje pierwsze wrażenie było słuszne. Być może, że on, ten gentleman, jest dyrektorem cyrku”. W tym co zaczął mówić teraz dostrzec można było jednak nie cyrkową lecz raczej profesorską manierę.

— Nie należy jednak zadawałać się definicjami „ogólnymi” — rzekł. — One także mogą zwiść was i wplątać w sztuczną scholastyczną łami-główkę. Na przykład: powie wam ktoś że pewien człowiek, po wyciągnięciu 164\$ od pewnego żyda, wydał go Gestapo, i wy na to wykrzykujecie zdumieni: „**Jak chrześcijanin mógł to uczynić?**!” Jesteście szczerze zaskoczeni, ponieważ w umyśle waszym tkwi tylko ogólna, szematyczna definicja słowa: *chrześcijanin*, i okrzyk wasz, w pełnym swym brzmieniu, wygląda właściwie tak: „**Jak osoba ochrzczona, mająca wiarę w Chrystusa, wyznająca religię i doktryny nauczone przez Jezusa Chrystusa i Jego Kościół i uznająca głoszone przez nie zasady postępowania, mogła to uczynić?**!” Nie możecie rozwiązać tego problemu i łamiecie sobie nad nim głowę. Spróbujcie jednak znaleźć mniej ogólną i mniej szematyczną definicję, i podstawcie ją pod słowo: *chrześcijanin* w waszym okrzyku. Czy nie zabrzmiał on tak:

- „**Jak** ktoś kto został ochrzczony po urodzeniu;
 ktoś komu mówiono żeby był dobry bo inaczej żyd przyjdzie i zabierze go w swym worku ze sobą;
 ktoś kto miał gruźlicę limfatyczną zaatakowaną przez bakcyle gruźlicy, wszy w salsdach koczuli, a śmierzdział kapustą która była głównym daniem jego obiadu, — był zaś zachęcany do tego aby z pogardą odnosił się do kogoś kto miał gruźlicę limfatyczną zaatakowaną przez bakcyle gruźlicy, wszy w salsdach chałata, a śmierzdział cebulą która była głównym daniem jego obiadu;
 ktoś komu mówiono że nie może dostać dwóch groszy na lody, trzeba bowiem płacić komorne temu bogatemu żydowi, który jest ojcem chłopca imieniem Dawid;
 ktoś komu mówiono: nie wstyd ci? ten brudny żyd Izak ma lepszy stopień z geografii niż ty;
 ktoś komu mówiono: nie bądź tak głupi jak ten żyd Jojne;
 albo: nie bądź tak arogancki jak ten żyd Chaim;
 albo: nie bądź taki tchórz jak ten żyd Mendel;
 ktoś kogo uczono: to jeden z nich, żyd imieniem Judasz, sprzedał słodkiego aryjskiego Jezusa;
 ktoś kogo uczono: to oni, żydzi, zamordowali okrutnie słodkiego aryjskiego Jezusa;
 ktoś komu mówiono: żydzi biorą krew niebieskoookich dzieci chrześcijańskich do wypieku swoich przasnich placków;

albo: żydzi śpią na złocie które ukradli Chryścijaństwu;
albo: nie możesz pójść na Uniwersytet bo miejsce twoje zajęli żydzi;
albo: musisz pracować jako urzędnik w magistracie bo wszystkie intratne
zajęcia są w rękach żydowskich;
albo: musisz uwolnić Chryścijaństwo od tych którymi nawet Miłość
Boga Samego zamknęła dostęp do Niebios —
— mógł to uczynić?!”

I widzicie państwo, jeśli wstawiamy właściwą semantyczną definicję w odpowiednie miejsce waszej łamigłówki, wszystko staje się jasne; i łamigłówka przestaje być łamigłówką.

Byłem raczej zmęczony tym jego długim wywodem i chciałem zapytać wreszcie czy nie widział Bayamusa, mówił jednak bez przerwy dalej, i wciąż pomagając sobie tymi gestami dyrektora cyrku.

— W poezji musi być *prostota, wrażliwość i pasja*. To Milton tak powiedział. Cóż zaś jest *prostszego* od właściwej definicji? Cóż działa na *wrażliwość* naszą bardziej niż świat, lecz świat oglądany tak jakbyśmy go widzieli po raz pierwszy, tak jakbyśmy go widzieli na skroś, dzięki roentgenowskim promieniom właściwej definicji? I w czym więcej namiętności i gorączki niż w tej *pasji* widzenia jak prawda zrzuca z siebie płaszcz tradycyjnych wier, legend, powiedzeń, obyczajów i przyzwyczajzeń! Czy nie tak? — zwrócił się znów do mnie po żyro.

— Istotnie... — zacząłem, nie zdążyłem jednak powiedzieć nic więcej, bo już rękę podniósł tym swoim *voilà*-gestem cyrkowym. Tym razem jednak zatrzymał się nagle i, zwracając się raz jeszcze do mnie, zapytał:

— Kto pan jesteś?

Byłem naprawdę zaskoczony tym pytaniem.

— Zostałem zaproszony na tę *party* przez jedną panią w Teatrze Poezji Semantycznej, — rzekłem. — Powiedziano mi, że mój przyjaciel Bayamus będzie tu także. Wdzięczny byłbym panu, gdyby pan mógł mi powiedzieć czy on...

Przerwał mi wybuchem śmiechu.

— Niech to diabli! — wykrzyknął, — Wiemy, wiemy to wszystko bardzo dobrze. Żona moja zaprosiła pana na *moją* specjalną prośbę. I kiedy pytałem pana teraz: „Kto pan jest?”, to miałem na myśli: „jaka jest pańska definicja pana samego?”!

Starzec karzeł nalał whisky do szklanki i podał mi.

— Nina! — zwrócił się potem do kobiety z brodą, bokobrodami i wąsami — Czy chciałabyś też jeszcze jedną?

— Nie powinieneś mnie pytać czy chciałabym też jeszcze jedną, ponieważ to jest jego *pierwszą* szklanka, — odrzekła głębokim, niskim głosem.

— Ale ty piłaś już przecież przedtem! — powiedział karzeł.

— Nie mówię, że nie piłam, Klaud, — odrzekła kobieta — i nie mówiłam że nie powinieneś być powiedzieć: *jeszcze jedną*, lecz że nie powinieneś być powiedzieć: *też*.

— Ale przecież on pije *też*! — rzekł karzeł płacziwie.

— Ja nie mówię, że on nie pije, Klaud, — odrzekła. — Gdyby jednak sędzia zapytał świadka, i gdyby świadek odpowiedział, że słyszał żeś ty rzekł: „*Czy chciałabyś też jeszcze jedną?*”, to on, sędzia, mógłby stąd wydedukować że on, the gentleman, pił już był przedtem, co nie jest prawdą. Rozumiesz?

— Ale kto mówi o sędziach, Nina? Co sędzia tu ma do roboty? — spytał karzeł głosem przestraszonym.

Postawiła swą szklankę na podłodze, obok siebie.

— Nigdy nie można wiedzieć, — odrzekła, wycierając obiema rękoma swe wąsy.

— Proszę o ciszę, Ladies and Gentlemen! Rozpatrujemy teraz bardzo poważny problem, — rzekł mój „dyrektor cyrku”.

I w tej samej chwili coś szepnęło mi, że wszystko to co mówił poprzednio, nie było powiedziane tylko tak sobie, że zmierzało do jakiegoś określonego celu, który jednak, w tej chwili, pozostawał dla mnie zupełnie niejasny. Coś szepnęło mi, że wszystkie te jego opowiadania były zaledwie wstępem, który miał utorować drogę temu, co zacznie się dopiero teraz. Następne jego słowa potwierdziły tylko tę moją obawę.

— A według was, Ladies and Gentlemen... — rzekł — Jak myślicie, kto on jest? — i, wskazując palcem na mnie: — Kto jest ten dziwny, 1 metr 71 centymetrów wysoki jegomość, który ma po *pięć* palców u każdej ręki; który każde ze swych dwóch oczu osadzone ma w *oddzielnym* oczodole; który ma głowę *ponad* ramionami, — oraz inne jeszcze cechy ukryte pod swym ubraniem. Kto on jest, gdzie on jest, kiedy on jest?

— On jest tu, na swoim krześle! — odezwała się kobieta o asymetrycznej twarzy.

— Rzeczywiście?! Och, jaka ty jesteś rozgarnięta! — wykrzyknął „dyrektor cyrku”, — On jest tu, na swoim krześle! Lecz czy jest on także i w tym miejscu czasoprzestrzeni w którym są jego włosy? A co będzie, jeżeli obetnę mu włosy? Czy będzie on wciąż tam, czy nie? A co będzie, jeżeli obetnę mu nogę? Czy on jest w swojej nodze także, czy nie?, chciałbym to wiedzieć! Albo, może on jest w mojej nodze, nie w swojej? Ha, ha, ha!

— Nie mów nonsensów, — rzekł z wyrzutem człowiek któremu głowa rosla pomiędzy ramionami.

— Uspokój się, mój drogi Karl. Nie mówię żadnych nonsensów, zapewniam cię. Nie możesz zdefiniować go dokładnie w przestrzeni. Tak, możesz powiedzieć: „tu on jest, tu zaś go nie ma”, nie możesz jednak wyznaczyć tego szczególnego punktu w którym on przestaje być, a nie możesz tego zrobić ponieważ nie masz dostatecznie dokładnej definicji kto on jest!

— On jest dobry kompan, — rzekła kobieta mająca oba oczy osadzone w jednym, pojedynczym, „centralnym” oczodole.

— Nie przeczę, Klara, nie! On *jest* dobry kompan. Bardzo dobry kompan! — klepnął się dłonią w kolano, a potem, uśmiechając się dziwnie, rzekł do mnie: — Och, przepraszam! To było nienaumyślnie.

— Ale przecież — odrzekłem — nie moje kolano pan uderzył.

Chińczyk-olbrzym podniósł się szybko. Głowę musiał pochylić nieco, ponieważ, inaczej, dotknęłaby sufitu.

— Chciałbym zatańczyć, — rzekł.

— Doskonale, Chiang. Możesz tańczyć — odrzekł mój „dyrektor cyrku”.

— Ale ja chciałem tańczyć z twoją żoną, — rzekł olbrzym.

— Bardzo mnie to cieszy, Chiang. Moja żona jest teraz tam, w swoim pokoju, — wskazał palcem drzwi po swojej lewej ręce, z tyłu, — ale zaraz przyjdzie dotrzymać nam towarzystwa.

— No więc, — rzekł olbrzym, — więc nie mów nonsensów, proszę, zanim ona nie przyjdzie.

— Jakich nonsensów nie mam mówić, Chiang?

— Żadnych nonsensów! O tym gentlemanie, kto on jest, gdzie go nie ma, i tak dalej.

— Słuchaj, Chiang, a gdybym ja tak odciął ci ucho i przeszczepił je sobie, za jedno z moich uszu? Czy nie byłoby potem tak, że ty istniałbyś częściowo tam gdzie ja jestem, a nie tylko tam gdzie ty jesteś?

— To jeszcze jeden z tych twoich nonsensów, — rzekł chiński olbrzym.

— Ja jestem tam gdzie jest mój mózg, tam gdzie moje wspomnienia są zarejestrowane.

— Świetnie, Chiang, świetnie! Lecz co, gdyby tak część twej pamięci została wycięta z ciebie i przeszczepiona, na przykład, we mnie? Jaki w tym wypadku sens miałoby słowo: *ty*, i słowo: *ja*?

— Ach, — odrzekł chiński olbrzym, — to byłaby nowa rzecz; i to jest jeszcze jeden z tych twoich nonsensów: mówić starymi słowami o nowych rzeczach.

— Jednak ta nowa rzecz istnieje! — wykrzyknął mój „dyrektor cyrku”, i, wskazując znów na mnie: — On jest tą nową rzeczą!

— Ja sprzeciwiam się! — rzekłem, wstając.

Wciąż jednak wskazywał palcem na mnie:

— No więc powiedz pan, — rzekł prowokacyjnie, — gdzie jest pańska pamięć za szereg miesięcy, poczynając od czerwca 1940 roku?!

— Ja sprzeciwiam się! — powtórzyłem, ale zupełnie automatycznie, zdziwiony tym, że prawdopodobnie wie o mnie więcej niż przypuszczałem.

— Proszę, niech się pan nie sprzeciwia. Wszyscy tutaj jesteśmy poważni ludzie i nikt z nas nie powinien się czuć urażony słuchając prawdy. Proszę, niech pan siądzie, i ja panu powiem... Był to bardzo gorący, słoneczny dzień czerwca 1940 roku... — a ja siadłem z powrotem na krześle, przestraszony i jednocześnie bardzo nieszcześliwy, jak gdyby już się spełniło to czego się obawiałem.

W tej chwili jednak drzwi otworzyły się i pani w czerwonej sukni weszła do pokoju. Towarzyszył jej Bayamus, wciąż na swym wrotku, i w pierwszej chwili, kiedy drzwi jeszcze poruszały się na zawiasach, miałem wrażenie, że widzę jak ręka jego spoczywa na jej ramieniu i potem wycofuje się szybko.

Widoczne było, że usłyszała ostatnie zdanie.

— Och, proszę cię, — wykrzyknęła, szybko zbliżając się do nas. — Proszę cię, nie bądź okrutny, mój drogi! Domyślam się co mu chcesz powiedzieć, to wszystko jest prawda i twoje intencje są jak najlepsze, ale obawiam się, mój drogi, że nie potrafisz powiedzieć mu tego w sposób dostatecznie subtelny. Pozwól, że ja mu powiem, mój drogi! —

Nie czekając na odpowiedź, podeszła tuż do mnie, podniosła rękę, i, dotykając mego czoła ostrym szpicem swego wypolerowanego paznokcia, rzekła:

— Czy pan wie, że pan ma odciętą głowę?

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— Czyżby? — odpowiedziałem. — Zdawało mi się, że moja głowa wciąż jest na moim ciele!

— Och, tak... — ona na to, i była rzeczywiście bardzo czarująca, gdy powtórzyła: — Och, tak! Ale to nie jest pańskie ciało.

— Doprawdy? — spytałem, starając się być specjalnie uprzejmy i miły dla niej.

— Tak, — ona na to. — Prof. Kravtchenko odciął był pańską głowę. To było pięć lat temu.

— Bardzo trudno mi w to uwierzyć, — odrzekłem.

— Być może, — ona na to, — ale ja to widziałam. Na własne oczy. Na prywatnym pokazie filmowym. Połączył pańską głowę ze sztucznym sercem i ze sztucznymi płucami i żyła. Widziałam bardzo dobrze. Stała, jeżeli można użyć tego słowa, stała na wielkim półmisku i reagowała na najrozmaitsze podniety zewnętrzne. Stroiła miny; z ust ciekła jej ślina; spała w nocy i otwierała oczy o świcie, a kiedy asystentka profesora Kravtchenko pokazała jej lustro, co według mnie było raczej nietaktowne, oczy pańskiej głowy zaczęły płakać. Czy pan nie pamięta tego wszystkiego?

— Bardzo żałuję, — odrzekłem, — ale muszę przyznać, że nie pamiętam.

— To dziwne, — ona na to, — on pamięta to wszystko bardzo dobrze.

I, zwracając się do swego męża, spytała:

— Prawda, kochanie?

— Naturalnie że pamiętam! — on na to.

— Widzi pan?! — rzekła znowu. — Widzi pan, Prof. Kravtchenko uczynił był to samo z nim. I potem Prof. Kravtchenko połączył pańską

głowę z jego ciałem, i jego głowę z pańskim ciałem. Czy to nie cudowne?! Połączył wszystkie żyły i arterie i nerwy i tchawicę i stos pacierzowy, to musiało być arcydzieło precyzji, prawdziwa jubilerska robota!

— Czy chce pani przez to powiedzieć, Madam, — rzekłem, — że moje ciało nie jest moje lecz jego, i że jego ciało nie jest jego lecz moje?

— Tak, — odpowiedziała z uśmiechem pełnym wdzięku.

— Oczywiście, — potwierdził „dyrektor cyrku”, — jeżeli, tak jak ja, uważa pan głowę za to co determinuje kto z nas obu jest panem a kto jest mną. Ostrzegam pana jednak, że głowa bynajmniej nie jest doskonałym determinantem, część bowiem pańskiej biografii i część pańskiej pamięci zapisana jest nie w pańskim mózgu a w tkankach nerwowych znajdujących się w pańskim stosie pacierzowym, to znaczy: w moim stosie pacierzowym, i na odwrót, część mojej biografii zapisana jest w pańskim.

— Och, proszę cię, nie komplikuj tego wszystkiego swoimi definicjami, kochanie! — wykrzyknęła pani w czerwonej sukni.

— Nic nie komplikuję, moja droga. Chcę jedynie żeby cała prawda została powiedziana i mam zamiar natychmiast omówić całą sprawę i wreszcie zdecydować...

— Ależ mój drogi! — wykrzyknęła. — Przrzekłeś mi, że...

— Nic ci nie przrzekałem, kochanie. Wprost przeciwnie, powiedziałem ci, że postaram się...

— Dobrze więc, — przerwała mu, — ale przynajmniej nie w mojej obecności.

W tej chwili Chińczyk-olbrzym podniósł się i rzekł:

— Przepraszam panią, Madam, pani małżonek obiecał mi taniec z panią. Pani nie wychodzi teraz, prawda?

— Niestety, Mr. Chiang, ale zaraz wrócę, — odrzekła. Odwróciła się i weszła do sąsiedniego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Przyszła mi do głowy myśl która, wtedy kiedy mi przyszła do głowy, wydawała mi się zabawna.

— Mam brązową plamkę na ciele, — powiedziałem, — urodziłem się z nią. Jeżeli nie mają państwo nic przeciwko temu, mogę ją zaraz pokazać. Mam ją na plecach.

— Czy oglądał ją pan sobie po roku 1940? — spytał jegomość którego ciągle nazywałem w myślach „dyrektorem cyrku”.

— Nie przypominam sobie żebym ją miał specjalnie oglądać w ciągu ostatnich lat, — odrzekłem, — pewien jestem jednak, że znajduje się ona wciąż na swoim miejscu.

— Ach, tak! Pewien pan jest, chociaż się pan nie trudził, żeby sprawdzić! — wykrzyknął, — A ja oglądałem ją co rano, co rano oglądałem ją w dwóch lustrach ustawionych pod kątem, specjalnie je tak urządziłem w łazience. Tak, panie! Pańskie znamię jest tu, tutaj, na moich plecach! — i zaczął się rozierać.

Nie zdążył rozpiąć jednak nawet guzików swej białej pikowej kamizelki, kiedy przesywający uszy pisk rozległ się z kąta pokoju, w którym siedziały bliźniaczki o klatkach piersiowych zrośniętych za pomocą wiązadła mięsnego.

— Ach! Ach! — piszczały histerycznie. — Ach, wy monstry! Ach, wy diabły! Piekielne, sztucznie zrobione potwory! Jezusie ratuj nas!

— Cicho tam! — rozkazał surowo mój „dyrektor cyrku”. A potem dodał z pogardą: — Kiszki!

— Co to znaczy? Kto tu ma być kiszka? — spytał karzeł.

— Wy wszyscy! — rzekł mój „dyrektor cyrku”. — Kiszki nie miały czasu żeby się przystosować do nowoczesnych miękkich pokarmów zawierających krochmal, do nowoczesnych zajęć wykonywanych w pozycji siedzącej, do tych wszystkich nowoczesnych warunków wytworzonych przez nowoczesny tryb życia. Działanie ich jest niekompletne, i zdarza

się że ustaje ono zupełnie. I wy też, wy też nie możecie przystosować się do nowoczesnych warunków wytworzonych przez nowoczesną naukę. Piszczycie, przestraszeni tym, że czyjaś głowa została przetransplantowana, jak gdyby nie dokonano na tym świecie bardziej nadzwyczajnych eksperymentów! Widzicie rzecz nową i piszczycie przestraszeni, ale mówię wam, przestraszeni jesteście dlatego tylko, że nie macie jeszcze nazwy dla tej nowej rzeczy. Nie bądź głupia, jedna z drugą, wymyślicie same jakąś nazwę dla tej nowej rzeczy, i zaraz będziecie spokojne i przekonane że wszystko już o niej wiecie.

— Daj mi szklankę wódki, — powiedziała jedna z połączonych bliźniaczek.

— Dwie szklanki, — rzekła druga.

Bayamus stał wciąż obok drzwi. Podniosłem się, żeby podejść do niego. Mój „dyrektor cyrku” zatrzymał mnie jednak.

— Przepraszam pana, — rzekł, — mam jeszcze jeden punkt, który chciałem omówić z panem otwarcie i wyczerpująco.

— Słucham, — odpowiedziałem spokojnie.

— Chodzi o to, — rzekł, — że ja mam dziecko.

— Bardzo mnie to cieszy, — ja na to.

— No dobrze, — on na to, — ale chodzi o to, że to nie jest moje dziecko a pana.

— Co pan chce przez to powiedzieć?! — ja na to. — Ja ledwo znam pańską żonę. I to dopiero od dziś wieczór!

— No właśnie! — on na to. — To ja zrobiłem jej pańskie dziecko.

— Przepraszam pana? — spytałem.

— Och! — wykrzyknął bezradnie. — Tylko głowa jest moja przecież. Reszta mego ciała jest pańska. Czy pan tego nie rozumie?

— Więc... — zacząłem, nie wiedząc co powiedzieć dalej.

A wtedy zwiesił głowę nisko i szepnął:

— A ja... A ja chciałbym mieć z nią moje własne, moje własne dziecko.

— Pan chce przez to powiedzieć... — rzekłem i urwałem, bojąc się zakończyć zdanie.

— A niech to wszyscy diabli! — wykrzyknął. — Mówię z panem po prostu i otwarcie, tak jak mężczyzna z mężczyzną raz w życiu powinien mówić, a pan mi odpowiada tylko tymi: „Przepraszam pana?”, „Więc...”, „Pan chce przez to powiedzieć...”; jakie to męczące! Tak, to co chcę powiedzieć to jest, że pan powinien, że pan musi zrobić jej moje dziecko. Błagam pana!

Zastanawiałem się długą chwilę co mu na to powiedzieć.

— I sądzi pan, — rzekłem wreszcie, — że żona pana zgodzi się na to?

— Co? — wykrzyknął. — Oczywiście że się zgodzi! Musi się zgodzić! My jesteśmy poślubieni w kościele, Sir! Ona przysięgła, w najbardziej uroczysty sposób; przyzywając Boga na świadka uczyniła wiążącą obietnicę że da mi dzieci, moje, moje własne dzieci, to znaczy dzieci które wyrosną z jaja zapłodnionego przez te komórki płciowe, które znajdują się w ciele, należącym do pańskiej głowy, nie do mojej. To jasne, Sir!

Widoczne było, że uważał już rzecz całą za załatwioną. Wzywałem oczyma Bayamusa, lecz odwrócił się i udawał że wygląda przez okno.

— Czy chciałby pan zobaczyć pańskie dziecko? — rzekł mój „dyrektor cyrku”. — Nie miałbym nic przeciw temu, gdyby pan chciał zabrać je ze sobą. To jest pańskie słuszne, ojcowskie prawo! — podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał: — Kochanie! pan chciałby zobaczyć Barbarę!

Wprowadził mnie do sąsiedniego pokoju, sam jednak pozostał w salonie i zamknął drzwi za mną.

Rzeczywiście ujrzałem niemowlę leżące w czymś w rodzaju łóżka stojącego na bujakach. Żona „dyrektora cyrku” siedziała obok na krześle.

Spojrzała mi prosto w oczy i twarz jej zaczerwieniła się. Pochyliła się szybko nad kołyską.

— Przedstawiam panu Barbarę, — rzekła, ściągając z dziecka małą różową kołderkę.

Od razu rzuciło mi się w oczy że dziecko było bardzo ciasno owinięte, od pasa aż do stóp samych, zupełnie jak egipska mumia.

— Co to ma znaczyć?! — nie mogłem się powstrzymać od okrzyku, w którym, mimo mej woli, zabrzmiała nuta oburzenia.

Podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku.

— On nigdy nie widział jej bez bandażu, — rzekła. — I nigdy jej nie zobaczy.

Wróciła do kołyski i zaczęła odwijać długie wstęgi miękkiego płótna. Dziewczynka obudziła się i zapłakała. Po chwili jednak uśmiechała się już wesoło i szczęśliwie, i, kiedy bandaże znikły, ujrzałem jej trzy różowe pulchne nóżki, jak machają radośnie w powietrzu.

— Pan rozumie, że mąż mój nie może wiedzieć o tym, — rzekła pani w czerwonej sukni.

Milczałem.

— Byłby okropnie zazdrosny! — dodała.

— Hm... — rzekłem, uśmiechając się z lekka, — zdawało mi się że pani obawia się, że to ja będę zazdrosny, Madam; bo to przecież mnie obiecano że zobaczę moje dziecko.

— Ach, — rzekła zaskoczona. — Przyznam się, że nie patrzyłam na to z tego punktu widzenia... — i, przykrywając małą Barbarę kołderką, dodała szybko: — Ale pan, mam nadzieję, utrzyma to w tajemnicy. Nie powie mu pan?

— Na pewno nie powiem, — odrzekłem.

Zastanawiała się nad czymś chwilę.

— A kiedy odwiedzi nas pan znowu? — spytała wreszcie.

— To zależy od pani, Madam, — rzekłem i poczułem, że moje policzki stają się tak samo czerwone jak jej.

— A więc, — odrzekła, bardzo spokojnym i opanowanym głosem tym razem, — mężowi mojemu specjalnie zależy na tym aby zaczął nas pan odwiedzać po najbliższym wydaleniu części mojej błony macicznej wraz z niezaplodnionym jajem. Sądzę, że to będzie miało miejsce w końcu przyszłego tygodnia.

— Zdaje się, że rozumiem panią; Madam, — rzekłem, cofając się do drzwi.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Ale przecież... — wykrzyknęła, — przecież pan zapomina wziąć Barbarę!

Wyjęła dziecko z kołyski.

— Co za roztrzepany człowiek z pana! — dodała, owijając je w bandaż i w różową kołderkę.

Kiedy wziąłem Barbarę z jej ramion, przekręciła klucz w zamku i otworzyła przede mną drzwi.

Bliźniaczkę złączone wiązadłem mięsnym siedziały wciąż w kącie salonu. Kobieta o oczach osadzonych w jednym, pojedynczym, „centralnym” oczodole, drzemała na swym krześle. Starzec-karzeł wdrapywał się na kolana młodej dziewczyny o osobliwie niesymetrycznej twarzy. Chiński olbrzym i kobieta z długą siwą brodą, wąsami i bokobrodami, tańczyli na środku posadzki.

— Rad jestem że zabiera pan swoje dziecko! — rzekł „dyrektor cyrku” i znikł za drzwiami.

— Voilà! — wykrzyknął z kąta człowiek któremu głowa rosła pomiędzy ramionami.

Z Barbarą na rękę, wyszedłem.

Ku memu zdziwieniu Bayamus czekał na mnie na ulicy.

— Nareszcie się zjawiasz! — rzekł. — Nie miałem sposobności żeby ci powinszować twego recitalu. Udał ci się wspaniale! Doprawdy! Dlaczego jednak nie chciałeś powiedzieć przekładu tej piosenki z Quartier Latin? Wstydziliś się? Ale!

— Dziękuję ci, Bayamus... — odrzekłem. — Tobie też trzeba powinszować. Jesteś prawdziwy Mutant!

I wskazałem na Barbarę, śpiącą w moich ramionach.

— Tak... — odrzekł. — Dziękuję. Wiedziałem o tym... — i wziął dziecko ode mnie. Spoglądał na nie bardzo czule i widziałem, że nos mu zwilgotniał. Próbował wyciągnąć chustkę z kieszeni, nie mógł jednak dać sobie rady. Więc oddał mi dziecko do potrzymania, lecz kiedy było już w moich ramionach, nagłym uderzeniem obu swych bocznych nóg kopnął ziemię i szybko jak motocykl odjechał na swym wrotku precz.

(koniec)

ALEKSANDER BRAMSON

PIERWSZA SESJA ZJEDNOCZONYCH NARODÓW*)

26 czerwca 1945 r. w San Francisco podpisano Kartę Zjednoczonych Narodów. Jest ona rozwinięciem projektu Organizacji Zjednoczonych Narodów, uchwalonego w Dumbarton Oaks 4 października 1944 r., ale nie tylko rozwinięciem.

Nie wchodząc w szczegóły, zaznaczę tylko, że Karta, w odróżnieniu od projektu, zawiera wstęp, w którym Zjednoczone Narody oświadczają, iż celem ich jest: wzmocnić wiarę w zasadnicze prawa mężczyzn i kobiet, w równe prawa wielkich i małych narodów, stworzyć warunki dla poszanowania zobowiązań wynikających z traktatów i innych źródeł prawa międzynarodowego, popierać postęp społeczny i podnieść poziom życia i wolności, a do tego celu stosować tolerancję oraz utrzymywać pokój i dobre sąsiedzkie stosunki, połączyć swe siły dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, zabezpieczyć by siła zbrojna używana była tylko we wspólnym interesie, korzystać z instytucji międzynarodowych dla popierania postępu gospodarczego i społecznego narodów, które się w tych celach połączyły.

Głównymi zasadami Organizacji są: suwerenna równość wszystkich członków, wykonywanie w dobrej wierze zobowiązań wynikających z Karty, pokojowe rozstrzygnięcie zatargów międzynarodowych w sposób nienaruszający pokoju, bezpieczeństwa i sprawiedliwości, wyrzeczenie się użycia siły lub groźby użycia siły przeciwko integralności terytorialnej lub niepodległości jakiegokolwiek państwa lub w inny sposób sprzeczny z celami Zjednoczonych Narodów.

Karta różni się od Paktu Ligi Narodów przede wszystkim tym, że ośrodek dyspozycyjny przeniosła z Walnego Zgromadzenia do Rady Bezpieczeństwa. Walne Zgromadzenie ma w zasadzie funkcje opiniotwórcze i prawo wydawania zaleceń, ale nie decyzji. Natomiast Rada Bezpieczeństwa ma prawo wydawania nie tylko zaleceń, ale i wiążących decyzji. Rada jest naczelnym organem dla otrzymania pokoju w razie gdy uzna, iż pokój jest zagrożony (funkcje prewencyjne) oraz dla przywrócenia pokoju, gdy został on naruszony. Karta nie określa agresji, pozostawiając tę niesłychanie delikatną sprawę uznaniu Rady w każdym poszczególnym przypadku. Celem zapewnienia posłuchu dla decyzji Rady, przy Radzie

*) por. B. Brzozowski „Próby organizacji pokoju” („Nowa Polska”, maj, 1945).

działa Wojskowa Komisja Sztabowa, dysponująca kontyngentami lotniczymi, oddanymi do dyspozycji Rady przez poszczególne państwa oraz planująca akcję zbrojną potrzebną dla wykonania decyzji Rady.

Są to zasadnicze różnice w porównaniu z Ligą Narodów, której uchwały miały walor moralny, natomiast nie miały egzekutywy. Pamiętne sankcje z Art. 16 Paktu Ligi Narodów zawiodły w sporach włosko-abisyńskim i chińsko-japońskim, a więc ilekroć zachodziła potrzeba ich stosowania. Karta Zjednoczonych Narodów zaopatrzyła organizację międzynarodową w „zęby”, i dlatego dała uprzewilejowane stanowisko wielkim mocarstwom, które w dzisiejszych warunkach technicznych są jedynymi dysponentami siły.

Wielkie mocarstwa są stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa. Uchwały Rady, z wyjątkiem spraw proceduralnych, wymagają zgody pięciu stałych członków i dwóch niestałych członków Rady.

W sprawach proceduralnych wystarcza siedem głosów, obojętne czyich. W razie sporu międzynarodowego, strony nie głosują.

W świetle tych przepisów (Art. 27 Karty), popularne zarzuty z powodu Veta wielkich mocarstw są bezpodstawne. W żadnym wypadku nie jest wymagana jednomyślność, a tego przecież wymagał Pakt Ligi Narodów.

Również w Walnym Zgromadzeniu Karta nigdy nie wymaga jednomyślności, choć Pakt wymagał jej zawsze. Normalnie uchwały zapadają zwykłą, w ważniejszych sprawach kwalifikowaną większością dwóch trzecich głosów.

Również i z tego punktu widzenia Karta Zjednoczonych Narodów jest wyrazem postępu, wolności i demokracji. Wreszcie, nieprzewidziana w projekcie Dumbarton Oaks a wprowadzona do Karty podczas Konferencji w San Francisco Rada Ekonomiczna i Socjalna ma przed sobą olbrzymie zadania, zwłaszcza w okresie przestawiania życia gospodarczego z wojny na pokój.

Pierwsza sesja Walnego Zgromadzenia Zjednoczonych Narodów odbyła się w Londynie i trwała od 10 stycznia do 14 lutego 1946 r. Walne Zgromadzenie wyłoniło Komitet Główny, sześć Komitetów technicznych i dwa Komitety ad hoc.

W komitetach technicznych reprezentowane było każde z państw-członków Zjednoczonych Narodów. Komitet Główny składał się z Prezesa Walnego Zgromadzenia i prezesów sześciu komitetów technicznych. Polska była reprezentowana w Komitecie Głównym przez Dra Konderskiego, jako prezesa Komitetu Drugiego Finansowego.

* * *

Komitet Pierwszy (dla spraw politycznych i bezpieczeństwa) zajmował się następującymi zagadnieniami:

1. sprawa udziału światowej Federacji Związków Zawodowych, Amerykańskiej Federacji Pracy (A.F.L.) i Międzynarodowego Związku Spółdzielni (International Co-operative Alliance) itp. organizacji nie-rządowych w pracach O.Z.N.;

2. sprawa wydawania i karania zbrodniarzy wojennych;

3. sprawa urzędowych języków O.Z.N.;

4. sprawa kontroli energii atomowej.

Ad 1. Wymienione organizacje nie-rządowe zwróciły się do O.Z.N. z żądaniem dopuszczenia ich w możliwie najszerszych granicach do udziału w obradach i pracach Z.N. Projekt brytyjski zalecał Radzie Ekonomicznej i Socjalnej jak najwcześniejsze zastosowanie Art. 71 Karty przez wykorzystanie opinii uznanych organizacji nie-rządowych, nadto umożliwić zaleca będącym w mowie organizacjom współpracę z Radą Ekonomiczną i Socjalną w charakterze opiniodawczym.

Projekt amerykański nie różni się zasadniczo od brytyjskiego, natomiast projekt sowiecki idzie dalej i proponuje, by przedstawiciele Światowej

Federacji Związków Zawodowych „brali udział w Radzie z głosem doradczym”. Podobnie projekt belgijski z tym, że współpraca z Federacją odbywałaby się nie tylko w Radzie jako takiej, ale i w jej Komisjach i Komitetach. Zgromadzenie Ogólne zwróciło sprawę do Komitetu.

Utworzony dla uzgodnienia tych wniosków podkomitet uchwalił, iż projekt amerykański winien być zalecony Komitetowi Pierwszemu. W wyniku dalszych obrad Pierwszego Komitetu w dniach 11 i 12 lutego 1946 r. uchwalony został projekt rezolucji, która zaleca Radzie Ekonomicznej i Socjalnej poczynić niezbędne kroki w celu umożliwienia Światowej Federacji Związków Zawodowych i innym organizacjom, wymienionym poprzednio, współpracy z Radą w charakterze opiniodawczym (for consultation). Bardzo gorące debaty wywołała na ostatnim Zgromadzeniu Ogólnym poprawka sowiecka, by zamiast słów „for consultation” wprowadzić słowa „in an advisory capacity” (w charakterze doradczym).

Różnica tekstów sprowadza się do tego, że tekst Komitetu przewiduje zwracanie się do Federacji Światowej o opinię, o ile Rada uzna to za stosowne, podczas gdy tekst sowiecki wymagałby stałego udziału Federacji w pracach Rady i znakomicie podniósłby jej wpływ na tok prac.

W tym kierunku szły zwłaszcza delegacje belgijska i polska, w której imieniu przemawiał Radca Winiewicz.

Walne Zgromadzenie przegłosowało jednak poprawkę sowiecką, i narazie rola Federacji ustalona została jako opiniodawcza w sensie uchwały Komitetu

Ad 2. W sprawie wydawania i karania zbrodniarzy wojennych delegacja białoruska zgłosiła wniosek, w którym żąda, by członkowie Z.N. niezwłocznie podjęli kroki niezbędne dla zaarrestowania zbrodniarzy wojennych i wydania ich krajom, w których zbrodnie popełnili, nadto by te same kroki podjęte zostały przez państwa, które nie należą do Z.N. Komitet, po przeprowadzeniu w specjalnym podkomitecie nieznacznych zmian redakcyjnych, jednomyślnie uchwalił projekt rezolucji, która została przez Walne Zgromadzenie zatwierdzona dnia 13.2.46 r. Rezolucja powołuje się na deklarację moskiewską z 1.11.1943 r., deklarację rządów alianckich z 13.1 i 18.12.1942 r., Konwencję haską z 1907 r. i Statut Międzynarodowego Trybunału Wojskowego z 8.8.1945 r.

Ad 3. W sprawie języków urzędowych O.Z.N., Komitet zalecił, by języki: chiński, francuski, angielski, rosyjski i hiszpański były językami urzędowymi wszystkich organów Z.N. oprócz Międzynarodowego Trybunału, nadto by języki francuski i angielski były językami potocznymi (working languages). Przemówienia angielskie tłumaczy się na francuski i odwrotnie. Przemówienia w innym języku urzędowym tłumaczy się na obydwa języki potoczne. Przemówienia mogą być jednak wygłaszane w jakimkolwiek języku. Wówczas mówca sam ma dostarczyć tłumacza na jeden z języków potocznych. Sekretariat dokona tłumaczenia na drugi język na podstawie tego pierwszego tłumaczenia. Stenogramy (verbatim reports) będą sporządzane w językach potocznych. Tłumaczenie na inny język urzędowy może być dokonane na żądanie. Streszczenie (summary) dokonywa się w językach urzędowych. Journal wydaje się w pięciu językach potocznych. Uchwały i ważne dokumenty ogłasza się w pięciu językach, mogą one być ogłoszone również w innych językach, jeżeli odnośne organy Z.N. tak postanowią.

W tej formie przepisy językowe (Art. 57-66 Tymczasowych Przepisów Postępowania) zostały uchwalone przez Zgromadzenie Ogólne dnia 1.2.46 r.

Ad 4. W sprawie kontroli energii atomowej należy cofnąć się do deklaracji waszyngtońskiej z 15.11.1945 i deklaracji moskiewskiej z 27.12.1945.

Deklaracja moskiewska, niezależnie od szeregu innych spraw, wyraża zgodę sygnatariuszów na to, by Ogólne Zgromadzenie Z.N. utworzyło Komisję dla zbadania zagadnień, wynikających z wykrycia energii atomowej i spraw pokrewnych.

Odpowiedni wniosek do UNO mieli wnieść stali członkowie Rady Bezpieczeństwa oraz Kanady. Deklaracja moskiewska zawiera całą treść wniosku, który w niezmienionej formie przez wyżej wymienione państwa został następnie złożony w dniu 6.1.46 r.

Do Komisji wchodzi przedstawiciele wszystkich członków Rady Bezpieczeństwa.

Komitet Pierwszy badał tę sprawę w dniu 21.1.46 r. W toku obrad Minister Modzelewski podkreślił konieczność uroczystej i konkretnej gwarancji, że energia atomowa nie będzie nigdy użyta dla zniszczenia, lecz tylko dla pokojowego rozwoju świata i podniesienia poziomu życia ludzkiego. Konkretnie wnosił, by paragraf 5, punkty b), c), d), deklaracji moskiewskiej stały się częścią składową praw zasadniczych wszystkich członków Z.N.

Tutaj zauważę, że wymienione punkty dotyczą kontroli energii atomowej w ramach potrzebnych dla użycia jej wyłącznie dla celów pokojowych, wyeliminowania produkcji broni atomowej i innej, przeznaczonej dla masowego niszczenia, utworzenia skutecznej ochrony przed naruszeniem i omijaniem tych zasad.

Komitet zaakceptował deklarację moskiewską 46 głosami przy jednym wstrzymującym się.

Zgromadzenie ogólne zatwierdziło sprawozdanie Komitetu w dniu 24.1.46 r. jednomyślnie.

Komitet Drugi (dla spraw ekonomicznych i finansowych), na którego prezesa wybrany został dyrektor W. Konderski, zajmował się sprawą brytyjskiego wniosku w sprawie UNRRA oraz niektórymi kwestiami, objętymi rozdziałem trzecim Sprawozdania Komisji Przygotowawczej, mianowicie utworzeniem następujących komisji: ekonomicznej i zatrudnienia; statystycznej; tymczasowej dla spraw transportu i komunikacji; skarbowej (fiscal commission).

Komitet jednomyślnie zatwierdził wymienione punkty sprawozdania, nadto dla rozważenia pozostałych punktów Cz. 3 Rozdz. I A, mianowicie: powołania Rady Ekonomicznej i Socjalnej oraz przyjęcia jej porządku dziennego i przepisów postępowania, rozważenia potrzeby powołania Komisji Koordynacyjnej oraz zaleceń dotyczących stosunku Rady Ekonomicznej i Socjalnej do specjalnych instytucji między-państwowych — powołany został łączny podkomitet Komitetu Drugiego i Trzeciego. Łączny podkomitet wszystkie wyżej wymienione zalecenia zatwierdził.

Dłuższą dyskusję wywołał brytyjski wniosek w sprawie UNRRA. Wniosek żądał: 1. podwyższenia przez państwa należące do UNRRA składek o 1% dochodu narodowego; 2. przystąpienia do UNRRY państw pokojowych, które nie są członkami, i powiększenie w ten sposób zasobów na cele humanitarne.

Rosja złożyła wniosek alternatywny, który różni się od brytyjskiego tym, że podwyżka składek o 1% dotyczyć ma tych państw, które nie były okupowane przez nieprzyjaciela, przystąpić zaś mają inni członkowie Z.N.

W rezultacie Komitet uchwalił rezolucję, która odbiega od wniosków zarówno brytyjskiego jak sowieckiego i ogranicza się: 1. do wezwania sygnatariuszów UNRRA do spłacenia swoich składek; 2. wezwania członków Z.N., którzy do UNRRA nie należą, do przystąpienia.

Ogólne Zgromadzenie uchwaliło rezolucję w redakcji Komitetu w dniu 1.2.1946.

Komitet Trzeci (dla spraw ekonomicznych i socjalnych) rozpoznawał trzy sprawy:

1. Wniosek kubański o powołanie przez Radę Ekonomiczną i Socjalną w porozumieniu z UNESCO Komisji Kulturalnej. Wniosek został oddalony 21 głosami przeciwko 13-tu (w dniu 11.2.1946). W dyskusji imieniem Polski brał udział Antoni Słonimski.

2. Sprawa utworzenia w ramach Rady Ekonomicznej i Socjalnej komisji: praw człowieka, tymczasowej komisji socjalnej, komisji do spraw narkotyków i ewentualnie komisji demograficznej. (Rozdz. III, Para. 4, a), c), e) i Para. 5 a) Sprawozdania Komisji Przygotowawczej).

Na posiedzeniu w dniu 25.1.1946. zabierał głos m.in. Antoni Słonimski, podkreślając wagę, jaką liczni delegaci przywiązują do Komisji Praw Człowieka, a zwłaszcza do ustanowienia karty praw i jej ochrony.

Komitet uchwalił powołanie będących w mowie Komisji z uwzględnieniem wniosku polskiego odnośnie Komisji Praw Człowieka.

Uchwała Komitetu została przyjęta przez Walne Zgromadzenie dnia 30.1.1946.

3. Sprawa uchodźców. Podstawą dyskusji był wniosek brytyjski o wniesienie sprawy uchodźców na porządek dzienny pierwszej sesji Rady Ekonomicznej i Socjalnej celem złożenia szczegółowego raportu.

Wniosek jugosłowiański był przeciwny tworzeniu aparatu międzynarodowego dla sprawy uchodźców, którzy mogą obecnie powrócić bez przeszkód do swoich krajów, wobec czego Rada Ekonomiczna i Socjalna mogłaby zająć się tylko uchodźcami hiszpańskimi. Cała sprawa wymaga układów bilateralnych. Specjalne miejsce zajmują zbrodniarze wojenni, quislingowie i zdrajcy, którzy na żądanie mają być wydani odnośnym krajom.

Delegacja sowiecka wносиła m.in. o to, by organizacja międzynarodowa okazywała pomoc uchodźcom tylko za zgodą odnośnych rządów, oraz by w obozach repatriacyjnych zabroniona była propaganda przeciwko powrotowi uchodźców do kraju.

Wpłynęły również wnioski: francuski, holenderski, amerykański i dominikański. Podczas długich obrad w Komitecie wysunęły się na czoło dwa zagadnienia: a) ogólne względy polityczne; b) kwestia aparatu technicznego. W pierwszym wypadku zwrócono uwagę na rozmiar zagadnienia, jego doniosłość z punktu widzenia politycznego, społecznego i humanitarnego, na konieczność określenia i klasyfikowania grup uchodźców, wreszcie na pilność sprawy.

Co do aparatu technicznego, wchodzi w grę: urząd Nansenowski Ligi Narodów; Wysoki Komisarz dla Spraw Uchodźców (niemieckich); wreszcie objęcie całokształtu przez O.Z.N.

Po oddaleniu wniosków sowieckich, większość Komitetu zgłosiła na Ogólne Zgromadzenie projekt rezolucji, która zaleca Radzie Ekonomicznej i Socjalnej utworzenie specjalnej Komisji, przy czym zaleca się Radzie uwzględnić szereg momentów, mianowicie: międzynarodowy charakter zagadnienia, przeprowadzenie szybkiego powrotu do krajów ojczystych, jednak bez przymusu, chyba że chodzi o zbrodniarzy wojennych, zdrajców i quislingów, którzy mają być wydani właściwym rządowi dla ukarania według prawa.

Z tym zastrzeżeniem opiekę nad uchodźcami wykonywać będzie właściwy organ międzynarodowy. Niemcy, przeniesieni do Niemiec z innych krajów, albo którzy uciekli z Niemiec przed wojskami alianckimi, nie podlegają niniejszej decyzji.

W tej postaci wniosek Komitetu znalazł się na porządku Zgromadzenia Ogólnego w dniu 12.2.1946.

Delegat sowiecki ponowił na tej sesji wnioski, poprzednio odrzucone w Komitecie (zakaz propagandy w obozach przeciwko powrotowi, personel z obywateli państw, którego obywatele przebywają w obozie, wyłączenie zbrodniarzy wojennych i zdrajców spod opieki Z.N.)

Na następnym posiedzeniu, które odbyło się tegoż dnia 12 lutego i trwało do późnej nocy, wnioski sowieckie zostały przez Walne Zgromadzenie oddalone, i zalecenie dla Rady Ekonomicznej i Socjalnej zostało uchwalone w redakcji uchwalonej przez większość Komitetu.

W imieniu delegacji polskiej, Radca Winiewicz popierał poprawkę sowiecką odnośnie zbrodniarzy wojennych i zdrajców, oraz zwrócił uwagę

na pominięcie w raporcie Komitetu wniosków polskich co do niewłaściwości traktowania żołnierzy, zasłużonych dla sprawy alianckiej, jako uchodźców. Formalnego wniosku w tym względzie delegacja polska nie złożyła.

Komitet Czwarty [do spraw opieki (mandatów)] uchwalił rezolucję, którą Walne Zgromadzenie jednomyślnie zatwierdziło dnia 9 lutego.

Rezolucja stwierdza, że z mocy rozdziału XI Karty wszyscy członkowie Z.N. są odpowiedzialni za administrację terytoriów, których ludność jeszcze nie uzyskała pełnej niepodległości, w naczelnym interesie dobra tej ludności. Dobro to uznają za święty obowiązek i dlatego przyjmują na siebie obowiązek rozwoju wolnych instytucji politycznych na tych terenach.

Rozdziały XII i XIII Karty przewidują system powierniczy, którego celami są, m.in. rozwój polityczny, gospodarczy, społeczny i kulturalny mieszkańców terytoriów mandatowych w celu doprowadzenia ich do samorządu lub niepodległości.

Zgromadzenie wyraża ubolewanie, że Rada Powiernicza nie może powstać podczas bieżącej sesji z powodu braku umów dotyczących powiernictwa.

Zgromadzenie uważa, że zwłoka jest szkodliwa i wzywa państwa mandatowe do podjęcia kroków dla wykonania Art. 79 Karty (warunki powiernictwa mają być uzgodnione przez państwa bezpośrednio zainteresowane i zatwierdzone przez Walne Zgromadzenie, względnie, o ile chodzi o teryn ważne strategicznie — przez Radę Bezpieczeństwa).

Z tych wszystkich względów, Walne Zgromadzenie: 1. zwraca uwagę na to, że Rozdział XI Karty nie zależy od zawarcia umów ani od ukonstytuowania się Rady Powierniczej; 2. poleca Sekretarzowi Generalnemu zamieszczenie w rocznym sprawozdaniu informacji dotyczących warunków w terenach mandatowych; 3. wyraża zadowolenie z deklaracji poczynionych przez niektóre państwa, które obecnie sprawują mandaty; 4. zaprasza te państwa do wykonania Art. 79 Karty (umowy co do warunków powiernictwa); 5. wyraża nadzieję, iż realizacja celów Karty umożliwi osiągnięcie politycznych, gospodarczych, socjalnych i kulturalnych aspiracji narodów, które nie posiadają samorządu lub niepodległości.

Komitet Piąty (sprawy administracyjne i budżetowe) złożył sprawozdanie ze swych prac na Walnym Zgromadzeniu w dniu 13 lutego 1946, które projekty Komitetu zatwierdziło.

Wobec specjalnego charakteru tych spraw niepodobna w niniejszym artykule wchodzić w szczegóły. Ograniczam się przeto do spraw najważniejszych.

Z uwagi na treść artykułów 97-101, Sekretarz Generalny jest nie tylko szefem administracyjnym organizacji, lecz ma również poważną rolę polityczną, gdyż ma prawo zwracania uwagi Rady Bezpieczeństwa na każdą sprawę, która, jego zdaniem, zagrażać może utrzymaniu międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa. Wybór Sekretarza Generalnego odbył się dnia 1 lutego 1946 r. Jest nim p. Trygve Lie (Norwegia). Sekretarz Generalny ma wyłączne i nieograniczone prawo mianowania urzędników i funkcjonariuszów stałego Sekretariatu z uwzględnieniem, w miarę możliwości, czynnika geograficznego, jednak bez obowiązku zasięgania opinii lub uzyskiwania zgody rządu, którego dany kandydat jest obywatelem.

Stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia z 9.2.1946, Sekretarz Generalny może przyjąć podanie urzędnika, który jest obywatelem państwa nie będącego członkiem Z.N., choć mianować go może tylko gdy państwo przystąpi do Z.N. Sekretarz Generalny związany jest bezwzględnie zaleceniem Komisji Przygotowawczej, iż nie może być zatrudniona w Sekretariacie osoba, która skompromitowała się działalnością faszystowską lub nazistowską, względnie z ruchami tymi była w jakikolwiek sposób związana. Przy doborze personelu Sekretarzowi Generalnemu pomagać ma specjalna Komisja Międzynarodowej Służby Cywilnej.

W sprawie przywilejów i immunitetów Komitet złożył projekt konwencji, otwartej dla wszystkich członków Z.N. Projekt przewiduje eksterytorialność pomieszczeń i majątku Z.N., wolność ich od podatków bezpośrednich i pośrednich, ograniczeń przywozu i wywozu, ułatwienia komunikacyjne, zwykłe przywileje dyplomatyczne dla delegatów państw do głównych i pomocniczych organów Z.N., ich zastępców, urzędników itd. Podobne przywileje przysługują personelowi Z.N., który ma mieć specjalne przepustki i zaświadczenia dla ułatwiania podróży służbowych.

Opracowano również projekt konwencji pomiędzy Z.N. a rządem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, mającej na celu zagwarantowanie eksterytorialności, obsługi użyteczności publicznej, bezpieczeństwa, tranzytu itp. spraw, jakie wynikają z ulokowania siedziby Z.N. na terytorium Stanów Zjednoczonych. W szczególności przewidziana jest jurysdykcja sądów amerykańskich pod pewnymi warunkami, a w odpowiednich wypadkach fungować będzie policja amerykańska za zgodą Sekretarza Generalnego.

Uchwała w sprawie rejestracji traktatów przyjmuje do wiadomości, iż tymczasowy Sekretarz Generalny (Executive Secretary) rozpoczął już rejestrację traktatów, zawartych po wejściu w życie Karty i zaprasza nieczłonków do nadsyłania traktatów celem rejestracji i publikacji, nadto do nadesłania traktatów z lat ostatnich, które nie weszły do Treaty Series, wydawanej przez Ligę Narodów.

Powyższe uchwały zostały przyjęte przez Walne Zgromadzenie: co do rejestracji traktatów w dniu 10.2.1946, co do przywilejów i immunitetów oraz projektu konwencji ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej w dniu 9.2.46.

Tegoż dnia 9.2.1946 Walne Zgromadzenie przyjęło sprawozdanie Komitetu Szóstego w sprawie przywilejów i immunitetów Międzynarodowego Trybunału oraz przywilejów specjalnych biur międzynarodowych i w innych sprawach, nie wymagających tutaj omówienia.

Bardzo ważna jest natomiast sprawa, która wypłynęła na skutek wniosku egipskiego co do okresu sprawowania urzędu przez członków rad i wywołała znaczną różnicę zdań w Komitecie i na Walnym Zgromadzeniu.

Zdaniem delegacji egipskiej, członkowie Rad, wybrani na rok, dwa lub trzy pełniliby obowiązki tylko przez 8,20 lub 32 miesiące, gdyż Art. 78 tymczasowych przepisów postępowania głosi, że kadencja ich kończy się z wyborem członków na następny okres, co ma nastąpić we wrześniu 1946 r. Wynikałoby stąd istotnie, że członkowie Rady Bezpieczeństwa wybrani w styczniu na 1 lub 2 lata skończyliby kadencję po 8 względnie 20 miesiącach, co jest sprzeczne z Kartą.

Komitet uchwalił dn. 5.2.46, zgodnie z wnioskiem egipskim, usunąć tzw. dodatkowy przepis S, według którego kadencja miała się kończyć w chwili wyborów na II, III, IV zwyczajnej sesji, oraz zmienić tekst Art. 78 w ten sposób, by kadencja zaczynała się w chwili wyboru, o ile miejsce jest wolne, co implikuje, że z wyborami we wrześniu kadencja np. Egiptu w Radzie by się nie skończyła.

Walne Zgromadzenie w dniu 10 lutego 1946 odrzuciło projekt Komitetu 22 głosami przeciw 21, a tym samym utrzymane zostały Art. 78 i dodatkowy Art. S. Prezes Spaak wyjaśnił, że wobec tego kadencja roczna skończy się z upływem 20 miesięcy. Zgromadzenie, wobec podniesionych wątpliwości, skierowało tę sprawę do Komitetu Głównego, który uznał, że uchwała Walnego Zgromadzenia definitywnie odrzuciła projekt Komitetu VI, wobec czego Komitet Główny proponuje, by Walne Zgromadzenie przegłosowało rezolucję, według której członkowie Rad, wybrani w styczniu 1946 r. pełnią funkcję przez 20 miesięcy, a następcy ich będą wybrani na II Zwyczajnej Sesji.

Na Walnym Zgromadzeniu w dniu 13.2.46 odrzucono 8 miesięcy i uchwalono 12 miesięcy. W rezultacie, kadencja członków Rad wybranych

w styczniu 1946 kończy się z upływem 12 miesięcy od wyboru, zaś następcy ich będą wybrani podczas 2 części I Sesji, tj. we wrześniu 1946. Uchwała dotyczy tylko członków wybranych na jeden rok.

Przyjęte rozwiązanie nie jest sprzeczne z Kartą, a stwarza interwał czteromiesięczny pomiędzy wyborem nowych członków, a objęciem przez nich obowiązków.

W związku z powyższym zauważyć należy, że stosownie do uchwały Komitetu Głównego najbliższa sesja wrześniowa uważana będzie za drugą część I zwyczajnej sesji Z.N. Walne Zgromadzenie zatwierdziło tę uchwałę dnia 9 lutego 1946.

Jedną z ważnych spraw przygotowanych przez Komitet Prawny był wybór sędziów Trybunału Międzynarodowego.

Stosownie do Art. 9 Statutu Trybunału, uchwalonego w San Francisco równocześnie z Kartą Z.N., Trybunał składa się z 15 sędziów, z których każdy musi być innej narodowości. Wybory sędziów odbywają się jednocześnie w Radzie Bezpieczeństwa i na Walnym Zgromadzeniu.

Wybory odbyły się 6 lutego i skończyły sukcesem Polski, gdyż Dr. B. Winiarski, Profesor Un. Poznańskiego, zasłużony prawnik międzynarodowy, wybrany został sędzią Trybunału Międzynarodowego na trzy lata.

Po omówieniu spraw, które przeszły na Walne Zgromadzenie przez sześć Komitetów, należy pokrótce omówić sprawy, które wniesione zostały na Zgromadzenie przez Komitet Główny.

Należą tu: 1. Uchwała w sprawie zupełnej odbudowy krajów zniszczonych przez wojnę, wniesiona przez delegację polską i przyjęta przez Walne Zgromadzenie dn. 2.2.46 po dłuższym przemówieniu Min. Stańczyka; 2. uchwalona dn. 9.2.46 na wniosek Panamy rezolucja w sprawie Hiszpanii. Rezolucja ta stwierdza że w San Francisco uchwalono, iż Rozdz. II, Art. 4, Para. 2 Karty (w sprawie członkostwa O.Z.N.) nie stosuje się do państw, których rządy zostały utworzone dzięki poparciu wrogów Z.N. oraz że Deklaracja Poczdamka wypowiedziała się przeciwko przyjęciu Hiszpanii do Z.N., wreszcie zaleca członkom, by w swoich stosunkach z Hiszpanią liczyli się z literą i duchem tych oświadczeń. 3. Sprawa zwołania Międzynarodowej Konferencji Prasowej — wniosek filipiński, przeniesiony na Drugą część I Sesji Walnego Zgromadzenia (Walne Zgromadzenie, 9.2.46). 4. Rezolucja w sprawie zboża i pszenicy. Rezolucja została zaproponowana przez Chiny, Francję, Rosję, Zjednoczone Królestwo i Stany Zjednoczone A.P. Opiera się na alarmujących faktach, dotyczących światowej produkcji zbóż, ryżu i tłuszczów, i groźby głodu w wielu krajach na Zachodzie i Wschodzie. Rezolucja zbiega się z wezwaniem dyrektora Organizacji Żywnościowej i Rolniczej (FAO) o niezwłoczne zwołanie konferencji dla zmobilizowania światowych zapasów i powiększenia produkcji żywności, oraz z pismem naczelnego dyrektora UNRRA, wzywającym kraje produkujące pszenicę, ryż i tłuszcze do powiększenia eksportu do krajów zniszczonych przez okupację, zaś inne kraje do racjonalnego ograniczenia importów.

Rezolucja została wniesiona przez Komitet Główny wprost na Walne Zgromadzenie, które rozpatrzyło ją dnia 13 i 14 lutego. Obrady wykazały jednomyślność rządów i gotowość ich do ratowania zagrożonych głodem milionów kosztem ograniczenia konsumpcji własnej ludności, i zintensyfikowania produkcji rolniczej. Rezolucja została uchwalona jednomyślnie. Poza stwierdzeniem powagi sytuacji żywnościowej, wzywa ona Rządy do racjonalizowania gospodarki i zapewnienia maksymalnej produkcji oraz do publikowania najdokładniejszych danych co do podaży i popytu zbóż, wreszcie wzywa międzynarodowe organizacje żywnościowe do ogłaszania wszystkich informacji w celu okazania rządów pomocy przy ustalaniu ich krótko i długoterminowej polityki aprowizacyjnej.

Po omówieniu działalności wszystkich sześciu komitetów technicznych i spraw skierowanych wprost przez Komitet Główny, należy jeszcze wskazać,

że Walne Zgromadzenie utworzyło t.zw. Komitety ad hoc, mianowicie komitet Ligi Narodów i Komitet dla wyboru siedziby Organizacji.

Komitet Ligi Narodów pracował nad planem przejścia niektórych funkcji Ligi Narodów. Nadto specjalny Komitet dla negocjacji z Komisją Nadzorczą Ligi Narodów w sprawie opracowania wspólnego planu przejścia majątku Ligi obradował pod przewodnictwem polskiego delegata, Radcy W. Moderowa.

Komitet dla Wyboru Siedziby odbył szereg posiedzeń. W rezultacie przeszedł projekt tymczasowej komisji wydelegowanej do Ameryki przez Komisję Przygotowawczą, by siedziba Z.N. mieściła się w okęgach Westchester (New York) i Fairfield (Connecticut) oraz projekt holenderski, by Komisja Planowania według otrzymanych wskazówek dokładnie określiła siedzibę i omówiła szczegóły z władzami amerykańskimi. Poprawka polska zabezpiecza, by czynności Komisji Planowania nie pociągnęły dla Z.N. żadnych zobowiązań finansowych.

O ile chodzi o siedzibę tymczasową, Komitet odrzucił wniosek australijski, by tymczasowa siedziba była w San Francisco, i zatwierdził wniosek tymczasowej komisji, by tymczasowa siedziba była w New Yorku.

Raport Komitetu co do siedziby stałej i tymczasowej został przyjęty przez Walne Zgromadzenie na ostatnim posiedzeniu w dniu 14.2.1946.

Wrześniowa sesja Z.N. odbędzie się przeto w New Yorku.

Wyczerpaliliśmy sprawę działalności Komitetów i Walnego Zgromadzenia. Przejdziemy z kolei do Rady Bezpieczeństwa.

Jak wiadomo, składa się ona z pięciu stałych członków (Anglia, Ameryka, Rosja, Francja, Chiny), i sześciu nie-stałych, wybranych przez Walne Zgromadzenie na dwa lata. W pierwszych wyborach trzech nie-stałych członków wybiera się na jeden rok.

Wybory odbyły się dnia 12.1.1946 i w ich wyniku do Rady Bezpieczeństwa weszły: Brazylia, Egipt, Meksyk, Polska, Holandia i Australia.

Polskę reprezentuje w Radzie Minister Modzelewski, który zresztą był prezesem Komitetu II Komisji Przygotowawczej dla Spraw Rady Bezpieczeństwa.

Rada Bezpieczeństwa zajmowała się w okresie sprawozdawczym następującymi sprawami:

1. List delegacji irańskiej ze skargą na to, że na skutek mieszania się urzędników i wojsk sowieckich do wewnętrznych spraw Iranu powstała sytuacja, która może doprowadzić do konfliktu międzynarodowego. Wyszyński w imieniu Z.S.S.R. zgodził się na dyskusję, jednak nie na formalne umieszczenie sprawy na porządku dziennym. Rada uchwaliła wnieść sprawę na porządek dzienny i, po wysłuchaniu przedstawiciela Iranu uchwaliła formułę, zaproponowaną przez Bevina, aby obie strony wszczęły bezpośrednie pertraktacje.

2. List delegacji sowieckiej w sprawie obecności wojsk brytyjskich w Grecji.

Rada, po wysłuchaniu przedstawiciela Z.S.S.R., Zjedn. Królestwa i Grecji, oraz biorąc pod uwagę, opinie, wypowiedziane przez członków Rady, m.in. przez Polskę, iż obecność wojsk brytyjskich w Grecji nie zagraża pokojowi, uznała kwestię za wyczerpaną.

Uchwała ta została przyjęta przez p. Wyszyńskiego z zadowoleniem: oświadczył on, iż stosunki brytyjsko-sowieckie będą nadal się rozwijały w duchu przyjaźni i współpracy dla dobra obu krajów i wszystkich członków Zjednoczonych Narodów.

Oświadczenie Bevina, że „Grecja jest zamknięta”, wywołało żywe okłaski.

3. List delegacji ukraińskiej w sprawie obecności wojsk brytyjskich w Indonezji. W tej sprawie Egipt wnosił o wysłanie komisji śledczej. Wniosek ten został odrzucony. Ponieważ innych wniosków nie zgłoszono,

prezes ogłosił, iż sprawa została wyczerpana. Tym samym Rada uznała, iż obecność wojsk brytyjskich w Indonezji nie zagraża pokojowi.

4. List delegacji libańskiej i syryjskiej z 4.11.46 w sprawie naruszenia suwerenności tych państw przez obecność na ich terytoriach wojsk francuskich i brytyjskich, zakończony żądaniem natychmiastowej i równoczesnej ewakuacji tych wojsk.

Rada rozważała tę sprawę dn. 16 lutego i na wniosek amerykański uchwaliała jak w sprawie rosyjsko-irańskiej. Ponieważ uchwała zapadła siedmioma głosami przeciwko dwóm, przy czym Anglia, Francja i Polska wstrzymały się od głosowania, a Rosja głosowała przeciw, Wyszyński zakwestionował jej ważność, gdyż art. 27 Karty wymaga zgody wszystkich pięciu stałych członków Rady. Bidault i Bevin przyznali słuszność stanowiska Wyszyńskiego z prawego punktu widzenia, jednakże oświadczyli, że Francja i Anglia wykonają decyzję większości Rady, t.j. rozpoczną rokowania z Syrią i Libanem.

Przechodzę do Rady Ekonomicznej i Socjalnej. Rada uchwaliała zwołanie międzynarodowej konferencji w sprawie zdrowia publicznego oraz konferencji międzynarodowej w sprawie zawodów i zatrudnienia. Memorandum czeskie w sprawie poprawienia komunikacji i transportu w środkowej Europie jako warunku odbudowy gospodarczej i socjalnej nie zostało jeszcze rozpoznane.

Reasumując wszystko co wyżej powiedziano, stwierdzić wypada, że O. Z.N. na sesji obecnej się ukonstytuowała i rozpoczęła wypełniać swe zadania. Rada Bezpieczeństwa w szczególności przyczyniła się do usunięcia szeregu drażnień międzynarodowych.

Jak powiedział Trygve Lie, Sekretarz Generalny O.Z.N., zamykając pierwszą sesję Walnego Zgromadzenia w dniu 14 lutego 1946, jesteśmy w przededniu szeregu wydarzeń międzynarodowych pierwszej wagi: Rada Bezpieczeństwa zbierze się ponownie w marcu, wkrótce nastąpi otwarcie Trybunału Międzynarodowego, Międzynarodowa Konferencja w sprawie zdrowia publicznego, w maju rozpocznie się Konferencja Pokojowa w Paryżu, we wrześniu odbędzie się dalszy ciąg Walnego Zgromadzenia Z.N.

Są to kamienie węgielne współpracy międzynarodowej, która oby dźwignęła świat z chaosu i zniszczeń wojennych, sprowadziła trwały pokój i zapewniła każdemu człowiekowi możliwość istnienia i pracy dla wspólnego dobra.

WANDA MELCER

SZCZECIN. WIOSNA 1945.

Oto masz przed sobą naturalny a ogromny teatr, jeden z najpiękniejszych, jakie stworzyła natura. Masz przed sobą Odrę, tarasy nadrzeczne i szczeciński zamek. Czymże wobec tego widoku są Delfy, najcudowniejsza, skałami zjeżona otchłań, która spada w nicość? Czymże wyspa włoska, do której przyływały okręty d'Annunzia w jego sztuce „Zwycięstwo”? Oto miejsce żywe, połączone z tobą i ze mną arteriami. Popatrz na błękitne żyłki, każda wzdyma się i puchnie, opada i drga od skurczów wysyłającego aparatu, jakim jest serce. To nasza krew płynie pulsującymi arteriami Szczecina.

I tu jest wyższość tego miejsca nad wszystkimi teatrami świata. Więc najpierw przewaga terytorialna. Coż za urozmaicenie! Nie potrzebujemy kopać fosy, żeby się wyodrębnić, odosobnić i bronić. Tam na dole pieni się Odra i bije o brzegi, ciemna w tej chwili, zależna jednak od oświetlenia, zależna od stanu

dusz, które tam po niej płyną. Nie ma ona lokalnego kolorytu, jej barwa zależna jest od naszych oczu. Stok nad rzeką, to drugi pomost teatru. Tworzy on tarasy czy stopnie po których kroczą, schodzą i wznoszą się aktorzy. Nic tu dodać, nic ująć, bo jest przecież i kolumnada za którą kryć się oni mogą i znów, wychodząc, ukazywać. Ale i tam najwyżej niczego nie potrzebujemy zmieniać ani stawiać teatralnych budynków, dawno już one powstały. Jest tam gmach bezstylowy; ze czterdzieści lat sobie liczący, w którym za Niemców mieściły się urzędy.

Nie dziw się, że to nowy budynek. Jesteśmy naiwni i prości, a dramat, który jest właśnie w toku, to dramat wieczny, nie widzimy więc dla niego innej niż współczesna formy, choć dostrzegamy analogie. Dlatego nie szukamy stylów ani form architektonicznych ubiegłego czasu, zadawalniamy się tym, co sami potrafimy zrobić, cieszymy się tym w sposób niewyszukany, jak malarze średniowieczni, którzy ubierali Boga i aniołów w stroje towarzyszy swojej pracy. Wiedzieli oni dobrze, że to w nich samych odgrywa się ten wieczysty dramat i że nigdy nie będzie w nim anachronizmów: dramat umęczonych.

Tak wygląda scena, ale powiedziano już, że ten teatr nie z jednego tylko względu ma wyższość nad wszystkimi teatrami świata. Oto dalsze jego właściwości: nie trzeba zbierać i płacić aktorów, sami się schodzą z rozmaitych stron, są ciągle obecni, nie potrzeba inspicjenta, żeby ich na scenę wypychał, i czy uwierzysz? Nie przestają grać ani na chwilę! A jacy to aktorzy, co za naturalność, jaki zapal! Odgrywają siebie tak świetnie, że złuda sceniczna jest całkowita. Nie myśl, że się który omyłkowo do ciebie odezwie, mrugnie porozumiewawczo okiem, brew, gdy nie trzeba, uniesie, albo, jak prowincjonalna szmira, uroi sobie, że trzeba się zawsze przodem odwracać do widzów. Przemoczeni deszczem, słońcem paleni, grają dalej, nawet noc nie kończy ich działań, gotowi sen udawać chrapaniem i nieprzytomnością. Tymczasem wykrzywają się i robią nieprzystojne gesty, jakby nikt na nich nie patrzył. Męczą się i podnoszą ręce, załatwiając najintymniejsze potrzeby ducha, jakby byli sami na świecie tylko przed sobą odpowiedzialni. Stają w malowniczych pozach na wszystkich piętrach sceny a poruszają się i zmieniają miejsca nie tracąc swojej przynależności w ogólnej hierarchii zdarzeń. Czasami ktoś się odrywa od grupy, żeby wygłosić swoją kwestię — i znów wsiąka w całość, która go wydała. Od czasu do czasu ich napięcia kierunkowe kulminują w jakimś czynnie stwarzając pozór akcji dawnego typu. O, myślisz sobie uradowany, mam! To nowela, to powieść, to dramat! Ale oto rozładowało się napięcie a oni nie schodzą ze sceny i grają dalej. Co to za rodzaj literacki, pod jaki gatunek to podciągniesz?

Powiedziano tu nieco o aktorach, ale nie dlatego, żeby im przydać niepotrzebnej wagi. Sztuka jest symultaneistyczna, cała akcja toczy się jednocześnie, a mowa ludzka jest tylko jednym z instrumentów wielkiej symfonii. A czy wiesz z ilu i jakich instrumentów składa się nowoczesna orkiestra? Inna była ona czasu Mozarta, inna czasu Wagnera i nasza jest inna. Tu mówi zespół świata. Na treść widowiskaa składają się dekoracje, stroje, światło, tempo (il tempo, czas), a to, co mówią aktorzy czy to, co się z nimi dzieje, to tylko mała cząstka całości. Ach, grają też przecież imponderabilia, gra historia, a więc to wszystko o czym pamiętasz i co wiesz. To nie osoba, to się czasem zawiera w jednym słowie. W słowie Szczecin. W słowie Odra. Te wszystkie walory grają, a mają często rolę

decydującą, jak ładunek uczuciowy, elektryczność dodatnia czy ujemna która, przenikając całą materię, nadaje jej wartość. Więc nie czekaj solistów, widowisko dawno się już rozpoczęło, bo ten teatr, to najstarszy teatr w świecie, to dusza człowieka.

A gdzie, proszę ja ciebie, umieścimy wobec tego widzów? Czy jak w Delfach, jak na włoskiej wyspie, siedzą oni na przeciwległym stoku, ssąc pomarańcze i cukierki, obrzucając się wzajem łupinami i grubymi słówkami z wozu, „ta ex amaxis”, jak uczestnicy procesji w Delfach? Rozeprzyj się, przystoń czy ręką, obchodzimy się przecież bez kurtyny. Nie zobaczysz ich przed sobą, chyba staniesz przed lustrem. To każdy, „Everyman”. Bo właśnie niebo i ziemia i wszystko przysłuchuje się naszemu codziennym, najpospolitszym słowom i przygląda codziennym czynnościom, od których właśnie zależy niebo i ziemia i wszystko. Ten wewnętrzny teatr ma wewnętrznego widza.

Więc zrób użytek z oczu, popatrz: jesteśmy w połowie czegoś co przypomina średniowieczny moralitet. Ta pochyła od rzeki ku zamkowi uniesiona scena, ta czarna Odra w świetle błyskawic rojąca się na płaskich barkach obcojęzycznym tłumem, który tu przybył z Rugii i Stralsundu, te baraki, w których się rozgrywa scena, te na stoku kolumnady, pocięte niemieckimi okopami, gdzie leniwym krokiem włączą się szabrownicy i złodzieje, ich zalotne kochanki i tłuste baby, które tu przybyły dla zysku, a teraz uginają się pod ciężarem plecaków i worków, ta wreszcie w zamku gromadka Polaków, którzy się tutaj bronią — (ach, zaraz się zorientujesz, przeciwko czemu oni się tutaj bronią) — to piekło, niebo i czyściec średniowiecza.

Jest piąta po południu, wicher hula przez brakujące szyby, potrząsa drzwiami, z których powyrywano zamki, łopocze w szmaty, które po ostatnim najściu barbarzyńców zawalają rozkoszne posadzki, stuka w nieliczne meble, rozstawione po pokojach, jak niedobitki, podnosi tumany kurzu (który tu jest niesiony od rzeki i nadodrzańskich tarasów, gdzie kiedyś chodzili Piastowicze), przeciąga wskos komnaty, gdzie stoi ten jeden człowiek, który tu został przysłany, żeby bronić honoru Polaków.

I teraz, proszę, zauważ. Teatr, którego widzem cię uczyniono jest cały w ruchu, to właśnie akcja sceniczna. Rzeka płynie od gór do Bałtyckiego morza, rozbija się z hukiem o kamienne cembrowiny, kołysze się od brzegu do brzegu i szczeka łańcuchami przycumowanych do pali berlinek i tratw, peśnych obcojęzycznego tłumu. Po niebie pędzą czarne, ciężkie obłoki jak dymy po wielkim pożarze, które od czasu do czasu przesywa jaskrawy ścieg błyskawic. Zaraz huknie piorun, a tam, tam, patrz, już chmury z ziemią przemieszała nieprzejrzysta zasłona nawałnicy, która biegnie ku tobie, stawiając kroki olbrzyma. Ja się boję takiej pędzącej nieodparcie nawałnicy, a ty? Duszno mi, nie wiem, gdzie uciec, zaraz ogarnie mnie i porwie!

Tłumy Niemców na rzece wrzeszczą i wiją się jak opętane. A teraz posłuchaj, co oni wołają. Myślisz może, iż ugięci pod naporem konwencji scenicznej wołają zemsty albo nawet chleba? Nie, dorośli kłócą się o miejsce i krzyczą, że w dachu baraków są dziury, którymi deszcz leje się na głowy, a dzieci wołają siusiu i krzyczą, że nie będą codziennie jeść jęczmiennej kaszy.

A jeszcze zanotuj sobie rytm poruszających się osób, bo on jest dla każdej grupy inny. W piekle na rzece i w nadbrzeżnych barakach ruchy tłumu są gwałtowne i nieokiełznane, jak w nowoczesnym tańcu, mowa chybka, gardłowa i charkocząca,

czasem śmiech się potoczy jak grzmot, a piskliwy lament wznosi się wysoko i rozdziera napuchłe od burzy i namiętności powietrze. W tych rejonach wszystko się dzieje szybko, klaszczą policzki, które matki rozdają półnagim dzieciom, a tupot ich nóg rozlega się echem po kamiennej redzie.

Inaczej jest na tarasach. Tutaj czyścicowe duchy przybyłych ze środkowych województw szabroników i złodziei oraz ich zalotnych kochanek przeciągają się w męce, chwieją nad rozpadlinami, trojkątne torsy osadzone w okrągłych biodrach wykonywują powolne ruchy okrężne, jak pnące rośliny, które szukają o coby się wesprzeć, gdzie zapuścić korzenie i ssawki. Pochylają się jak nurkowie, wyciągają jeszcze dalej długie ręce i nogi jak nóżki cyrkla, jak cienkie łapy pajęczę, ich szyje trzeszczą, żeby się wydostać z ramion. Wypatrują po placach i ulicach czerwonych pierzyn, zlanych deszczami i moczem, poduszek, wyhaftowanych przez cierpliwe Niemki, ich pajęczę ręce ciągną zakrzywionymi palcami zardzewiałe pokrywy od rondli, emaliowane garnki koloru dojrzałych kasztanów, zzieleniałe od wilgoci portmonetki, tornistry żołnierskie, okryte wyburzałą, cielecą skórą, centkowane błotem imbryki, wstążki i kwiaty z dziewczęcych warkoczy. Ich ruchy są powolne i płynne, można by to zapisać na nutowym papierze i podać orkiestrze, ustalić klucz, tonację i trudny rytm, prawa i lewa ręka to czwórki i dziewczątki, nie wygra tego początkujący muzyk. I to, co się tam dzieje na górze, jak śpiew. Już słyszysz? Oto głos ludzki.

Bo tam, w dawnym niemieckim szlosie wszyscy poruszają się powoli. Ktoż tu jest? Z czym ci Polacy przyszli zdobywać? Mało ich. Czy dawno przybyli? Och, pędzeni tym wichrem, który niesie nawałnicę i burzę przez okna bez szyb wracają tu po raz trzeci od dwóch miesięcy. Stoją w miejscu, podnoszą ręce do oczu, do serca. Co tu się rozgrywa? Nic wielkiego, to tylko widowisko jakiejś ojczyzny, a może kilku ojczyn konflikt. Patrz, dwoje siedzi na krzeselkach. Tu grupa z paru osób złożona, przyjezdni urzędnicy, którzy tylko co przybyli i tu mają pracować. Idą wolno w świetle błyskawic i cieniach nadlatujących chmur przez ciemne, złotem szyte, nieznanne pokoje, stają, przyciskają się do ściany. Tam znowu dwóch w pokoju, jeden stoi przy oknie (pierwsze to chyba okno, które ma szyby), przycisnął do nich czoło, chłodzi je, ma gorączkę, patrzy na czarną rzekę, którą tylko po białej pianie odróżnisz w nadlatującej ciemności.

Tych ludzi tu stanowczo za mało, a im wyżej ciągniesz, tym ich mniej zobaczysz. W nadodrzańskim piekle rozwrzeszczane, rozśpiewane tłumy całe, wielu też jest nurków, błądzących po ulicach i tarasach, choć tak są z pozoru chwiejni, tak szukający oparcia. A tu, na górze? Śmiech spojrzeć, z czym oni tu przyszli zdobywać! Przecież nie wiem, czy ich tu jest kilkunastu! Tak, kilkunastu razem, inni, rozrzućni w grupach liczących po kilka zaledwie osób i ten jeden chory tam na górze przy chłodnej szybie, drugi siedzi obok na krzeselku.

Kilkunastu milicjantów zeszło się w sklepionej sali na dole, piją kawę bardzo czarną, nieprawdziwą i taką, do której nie wspano cukru, bo go nie ma.

— Niechże panowie idą — mówi jeden, zabierając przyjezdnego urzędnika — tu nie ma gdzie nocować. A jeszcze dwa tygodnie temu, kiedyśmy ostatni raz stąd wyjeżdżali, czterystu ludzi mogło nocować na zamku.

— Gdzież nas pan prowadzi? Tu ciemno, wiatr huczy, cóż za okropna pogoda! Proszę, niech mi pan poda rękę, spadam.

— Tędy, prowadzę do siebie. Tam pan znajdzie łóżko i odpowiednie, noc może być okropna.

— Czy to oni strzelają?

Milicjant wzrusza ramionami. Idziemy za nim po schodach w dół, nogą odrzucamy jakieś czepiające się, powiewające na wietrze fałdy.

— Pan głodny, dam panu zupy.

Dwie kobiety leżą na tapczanie, ale jedna podniosła się idzie do kuchni. Druga leży wyciągnięta w pięknej pozie, jej pospolita twarz nie zabarwiona żadnym rumieńcem.

— Przedstawię pana, to nasza przyjaciółka, artystka.

Artystka — rozumie się, artystka z teatru, z tego nieprawdziwego teatru który gra tylko czasami i za pieniądze. Pali popierosa i patrzy z udaną obojętnością, czeka uznania, zapytania, czaruje. Żona milicjanta powraca, ma dwa talerze zupy na małej tacy, stawia jeden przede mną a drugi przed sobą. Zupa jest słona, ale zjadam ją precyzyjnie i na pewno, gotów jestem wyliczyć talerz, taki jestem głodny. Deszcz leje się po szybach szerokim, równym strumieniem jak wycierakiem, który mechanicznie sunie z góry na dół po kryształowej szybie auta. Jest mi całkowicie obojętne, że nikt więcej nie dostał tej zupy, nawet nie próbuję o to pytać, głos by mi się załamał ze strachu, że mnie pozbawią talerza.

— Leje — mówi jednocześnie Siwocha do swojego kochanka, tam, na tarasie — leje — i potrząsa ze zniechęceniem tą swoją świeżącą strzechą, która jej zjednała przydomek. Tak, to Siwocha, która zatrzymuje, gdzie chce, pociągi, Siwocha, która kradnie, wiezie i płaci, Siwocha w bawełnianej chustce na głowie z ogromnymi, prawdziwymi perłami w maleńkich uszach.

Judy wziął ją w pół, trzyma ręką za pierś. Tak go nazwali, bo ma ogromne, czarne oczy. „Twoja matka miała kochanka żyda” — mówi, a on się śmieje, bo wie, że to nieprawda.

— Daj mu w łapę, to może nas przepuści — mówi kobieta, ocierając się biodrem o jego biodro.

— A jak nie przepuści?

— Powiedz, że Siwocha mu każe, a jak się trochę przejaśni pójdziemy do pociągu.

Podchodzą do dawnego niemieckiego schronu, to w biegnącej fosie okopu jakby placyk czy wyrwa, strop nakryty deskami, trzymającymi zsypaną na wierzch dla niepoznaki ziemię, która już trawą zarosła. Przywleczono tu z mieszkań łóżka, pierzyny, wielkie lustra z pękniętą taflą, kilka gobelinowych foteli ze złocnymi poręczami. Przewrócił ją na tapczan.

Cóż za nieznośne hałasy! To ci Niemcy na berlinkach szaleją i wrzeszczą. Nikt sobie nie wyobrazi, jak ciasno na takiej berlince, która stoi przycumowana do pali. Zgrzytają pordzewiałe łańcuchy, trąc się o drzewo. Na brzegu zbudowano parę drewnianych baraków, ogrodzono je drutem kolczastym. Nie wolno stąd chodzić do miasta.

— Posuń się szybko, szybko, bo fala odrzańska bije tak wysoko, że prawie zalewa mi oczy. Posuń się, bo jestem tak głodny i tak do szpiku kości przemoczony, że straciłem cały zasób cierpliwości. Lubię się słuchać a i ciągnie mnie do tego miasta, gdzie przeżyłem młodość, choć ono teraz zwalone — w jakim stopniu? Zwalone w jednej trzeciej i to moimi własnymi rękami. Ach, powiem ci, że burza, która wre koło mnie i wysoko

spiętrza fale Odry niczym jest wobec burzy, która przelatuje teraz moim sercem. To jest dopiero piekło i piekło prawdziwe, porzuć wszelką nadzieję, który uchozisz. I znowu każ mi tu wracać, a ja wrócę, choć wiem, że to nierozsądne, wrócę, rozumiesz? Tajemniczy jakiś atawizm każe mi po wiek wieków słuchać komendy, gorzej, każe mi nasłuchiwać czy ona się nie odezwie nawet teraz, kiedy, zdawałoby się, wszystko wokoło zagłuszy lecąca burza. Będę gryźć i rozrywać zębami każdego, kogo napotkam. Piłbym znów waszą słoną krew, Polacy! Nienawidzę was i ani zwycięstwo ani klęska nie stłumią mojej nienawiści. Idź precz, Truda, niech cię piekło pochłonie, nie dajesz mi myśleć, przekłete dziecko! Jak tylko się dobrze ściemni, idę na górę do miasta. (I znów klasnął policzek, mieszając się z hukiem wezbranej rzeki.) Tu przecież wszystko moje!

I niczego więcej nie usłyszeliśmy od was przez cały czas. Ani na chwilę nie przeszło wam przez myśl, że jednak „moje” kończy się tam gdzie się zaczyna cudze, że nawet jadąc tramwajem nie należy tak się opierać na ławce, żeby tłuste fałdy pleców przelewały się na drugą stronę oparcia, bo z tamtej strony też siedzi żywy człowiek, który potrzebuje oparcia pod zmęczone plecy, powietrza, wchodzącego przez okno, którego nie zawaliłeś swoim torsem, miejsca na ziemi choćby tyle, by móc postawić stopę. Że właśnie i to powietrze i tę ziemię powinienes być od razu w myślach swoich i zamiarach, że już nie wspomnę o wykonaniu i życiu, podzielić, Niemcze, tak, żeby i dla mnie i dla ciebie i dla każdego. Żeby właśnie przeprowadzić tę wyimaginowaną granicę na ktorej przy całym egoizmie i przy całym instynkcie samozachowawczym stykają się nasze dwa prawa. A teraz ja mam prawo do tej zdobytej ziemi i będę przy nim obstawać.

— Nie wolno wchodzić do miasta, ale pójdziemy tam, jak się zupełnie ściemni, będziemy chodzić po znajomych ulicach, wślizgniemy się do domów, któreśmy zajmowali, do mieszkań, gdzie złe wspomnienia obijają się ciągle o zburzone ściany. I co ty powiesz, wspomnienie naprawia mury, jest, jak przezrocyste i niematerialne łąty tam, gdzie nie ma tynku i cegły.

— Ernst, popatrz, tu, koło kuchni wisiał ręcznik, sama wyhaftowałam na nim napis czerwoną bawełną DMC (znad Renu) „Morgenstund' hat Gold im Mund”!

— Morgenstund'! Morgenstund'! Ach, to straszliwe, siekające tempo, tempo, którym giniemy! A tutaj widzę tylko złote plomby w czarnych, wyszczerzonych zębach chmury! Wstań, towarzyszko mojej hańby, pomiętasz, jak to u Wagnera powiedział hrabia Telramund!

— Więc tu wisiał moj haftowany ręcznik, a tam leżała poduszka ze stosownym napisem, na której lubiłeś drzemać. Kto ją zabrał? To ta straszna, siwa kobieta wlecze moje poduszki! A na czym dzisiaj będzie spać Truda?

— Polaków można bić, bo oni nie czują.

Jednocześnie — bo to wszystko dzieje się jednocześnie, ten samotny w dużej sali przy oknie oderwał od szyby gorące czoło. Chwiejąc się idzie do stolika, siada. Trzydzieści dziewięć stopni z kreskami. To zwykła rzecz, zaziębił się kilka dni temu, takie w tym gmachu okropne przeciągi!

— Wiesz, trudno mi łykać, a nie chcę Justynce pokazać gardła, bo będzie żądać, żebym się położył do łóżka. Może to głupie, ale nie znoszę w dzień leżeć w łóżku. Rozebrany, leżący, nie jestem tym samym człowiekiem. Co to jednak za siła, ten nasz

stan cywilny! Czuję się rozbrojony, nie panuję nad sytuacją. I wiesz, jestem pewien, że nawet gorączka by wzrosła, bo pierwsza instancja, jakiej bym się niechęć poddał, to instancja choroby. Co mówisz, że gorączka i tak się może podnieść? Ech!

— Nie pora o tym wspominać, kiedy się tak źle czujesz, ale obiecałeś mi na jutro benzyny, wezmę i twoje rzeczy. Nie? Znam twoją śpiewkę, benzyna i wóz wiecznie ci potrzebne w teren. Ja już od dwóch dni czuję, że zrobisz mi jakiś kawał z tą benzyną. Robisz nieporadne gesty i za dużo ich, po prostu machasz rękami, jak wiatrak. Język ci się płacze, oczy błyszczą. No i nie powiedziałem, że zaraz wejdzie kobieta!

— Edwardzie — mówi, i kładzie ci rękę na czole — ale ty musisz się zaraz położyć! Na litość Boga, co ty ze sobą, co ty ze mną robisz! No mój drogi, wyleżysz się, wypoczniesz i jutro wyjedziemy. No mój drogi, tylko na parę dni, póki nie minie gorączka! Nie ma mowy, żebym ci dała tyle pracować!

— Tak, spodziewałem się tego! Czyżbym naprawdę miał gorączkę? Otwórz okno, niech odetchnę, zdaje mi się, że się uduszę. Więc nie dasz mi nawet otworzyć okna? Wyjdź, wyjdź!

— Edwardzie, czego tak krzyczysz? Proszę pana, jak pan mi nie pomoże, to już nie wiem, co tu się stanie, ale to że nie wiem, nie wyłącza, że to będzie jakaś tragedia. Pan przecież widzi, jak on wygląda! No dobrze, już wychodzę. Twój upór przewyższa wszystko, co się da pomyśleć. Nie wychodź, błagam na klęczkach!

Zrobiła w moim kierunku porozumiewawczy ruch małą, okrągłą bródką i wyszła. Nie wiem, czy uda mi się przeszkodzić żeby nie zeszedł po tych schodach, gotów się przewrócić, ma naprawdę wielką gorączkę. I co za pomysł, żeby teraz kontrolować milicjantów, kiedy usiedli koło pieca i piją gorącą kawę! A już szczególnie nie powinien by wychodzić przed bramę, jest tak ciemno, deszcz wali tumanami i zasłania cały widnokrąg, pomieszał brzegi i pędzi fale.

— No, a teraz wyżej tymi ulicami, pod górę, pod górę! Chodź, Muti, pomogę ci, hop! Uważaj, jest ślisko i okopy tu takie szerokie, nie wpadnij!

— Och, Ernst, popatrz, ta siwa kobieta wlecze moją poduszkę, sama haftowała przecież, patrz, „Morgenstund’ hat Gold im Mund”! Nie, tego to już nie wytrzymam!

— Cicho bądź, nie rycz, ciemno, nie udawaj, że widzisz napisy, to wcale nie twoja poduszka! Nie trzeba zwracać na siebie uwagi, bo nas zatrzymają. A tak ja sam najlepiej to wszystko załatwię. Puść!

I tak się tam oni wszyscy zeszli w tym momencie wieczora, roku i historii. Chory człowiek stał we drzwiach, otworzył je nierozsądnie szeroko, oddychał. Za nim, nie dopiwszy czarnej kawy, stanęło paru milicjantów, śledząc w ciemności mijające cienie. Niemiec przechodził i strzelił do niego.

— Jezusie Nazareński, do naszego! — wrzasnęła czająca się z poduszką Siwocha i rzuciła się naprzód. Przypadkiem dostała kulę, upadła zabita. Milicjant zastrzelił Ernsta, inny zatrzymał jego żonę. Truda została sierotą. Judy wrócił z tłumokami do Warszawy, zziębnięty jechał na dachu pociągu, strzegł, skulony, swoich węzełków, gwizdał, zakłopotany problemami.

Stłoczyliśmy się w drzwiach, potem rozeszliśmy się. Kula przeleciała tuż, było straszno. Ale deszcz nacichał, rozdarły się chmury a w miejscu ich pęknięcia pokazała się wieczna

treść nieba koloru błękitnej nadziei. Pani Justynka stała pod ścianą z opuszczonymi rękami. Tamten powiedział:

— Widzisz, nie ma powodu nigdzie jechać, czuję, że gorączka opada. Najgorsza jest zawsze o piątej po południu. Co macie zrobić z kobietą? Z jaką kobietą? No, nie spalimy jej przecież w krematorium. (Uważaj, to właśnie jest wielka aria solowa i wytłumaczenie wieczoru.) Jutro będę zdrow jak ryba — dodał, żeby rozśmieszyć i uspokoić żonę, robiąc aluzje do nieosiągalnych ryb. — Ale może ty byś na jakiś czas wyjechała? No, to już zostaniemy wszyscy.

Nie odezwała się ani słowem, była blada, zrobiła tylko mały ruch prawą ręką, wyciągnęła ją przed siebie i znów opuściła.

Został, rano poszedł do biura, załatwiał najpilniejsze sprawy, potem resztę. Zostaliśmy wszyscy. Nie wiem, czy dobrze robię, rozdając tak pochopnie, w poczuciu świeckiej moralności, piekło, niebo i czyściec, jak w tej dziecinnej zabawie, kiedy się skacze rozstawionymi nogami przez kredowe napisy na flizach chodnika? Ale ta dekoracja, te wypadki, te głosy, mają styl średniowiecznego moralitetu. A poza tym, najpierw przeskoczyć, a potem zapomnieć. Więc lepiej wszystko — pamiętać.

Sztuka trwa.

JAN DĄBROWSKI

STANISŁAW KUTRZEBA

Nazwisko Stanisława Kutrzeby zrosło się od kilku lat dziesiątków z pojęciem nauki polskiej. Wszystko co związane było z jej rozwojem, działalnością wewnętrzną i zewnętrzną łączyło się z Jego imieniem. W twórczości Jego były trzy wielkie kręgi, z których każdy wystarczał na wypełnienie życia jednego człowieka: dziejopisarstwo, dzieje prawa i ustroju Polski w ciągu całego 1000 lecia jej istnienia, Kraków i uniwersytet krakowski, wreszcie Akademia Umiejętności, organizacja nauki polskiej, dawanie jej programu działania i jego wykonanie, walka o miejsce dla tej nauki na szerokim świecie.

Stanisław Kutrzeba był dzieckiem Krakowa ur.15.XI.1876. Syn mieszczańskiej rodziny krakowskiej (Jana i Walerii z Pawlików) był wychowankiem gimnazjum św.Anny, które ukończył w r.1894 i uniwersytetu Jagiellońskiego, na którym otrzymał po studiach historycznych i prawniczych doktorat prawa w r.1898. Nie tylko jednak studia uniwersyteckie wpływały na tworzenie się widnokręgów myślowych przyszłego uczonego. Działała nań w ogromnej mierze także atmosfera kulturalna panująca wówczas w Krakowie. Wyrażała się ona w głębokim i szczerym acz krytycznym kulcie dla przeszłości, dla politycznej i kulturalnej roli Krakowa w dziejach Polski, wreszcie w pietyzmie dla zabytków przeszłości, świeżo odratowanych lub odrestaurowanych. Odnawiano wówczas katedrę wawelską, szczyłono się odrestaurowaniem Sukiennic i polichromią Matejki w kościele Mariackim. Kraków ówczesny żył wizjami przeszłości Polski, zaklętymi w obrazy Matejki i oddychał powietrzem epepei sienkiewiczowskich. Jednocześnie z tym budziła się. Młoda Polska, rozpoczynał swą twórczość Stanisław Wyspiański,

wspaniałą wyraziciel żywego ducha Polski, wyczarowanego z kamiennych zabytków Krakowa.

W tej atmosferze zdobywał sobie Stanisław Kutrzeba wiedzę prawniczą i historyczną w szkole Ulanowskiego, Piekosińskiego, Smolki i Krzyżanowskiego, rozszerzając niebawem swój widnokrąg naukowy na studiach w Paryżu i dłuższych badaniach w Rzymie (1898-1900). Już wtedy zadziwiał wszystkich swymi zaletami, które w dalszych latach pracy i działania postawiły go rychło w pierwszym szeregu uczonych polskich: opanowaniem olbrzymiego materiału naukowego, a jednocześnie oryginalnymi a mocno na tym właśnie materiale ugruntowanymi poglądami, śmiałością wreszcie po analitycznych badaniach i roztrząsaniach sięganiu po syntezę. Zawdzięczał to z jednej strony niestrudzonej pracy, z drugiej ogromnym zdolnościom, pozwalającym Mu wprost pochłaniać to, przez co żmudnie przekopywali się inni. Materiały archiwalne krakowskie i zbiory rękopiśmienne przewertował w ciągu szeregu lat studiów a następnie pracy jako urzędnik Archiwum aktów grodzkich i ziemskich (1901-1908), uzupełnił poszukiwaniami za granicą, stwarzając w ten sposób mocną podstawę dla swoich prac, prawdziwą kopalnię wiadomości zamkniętych dotąd dla innych.

Pierwsze lata Jego działalności naukowej związane są przede wszystkim z pracami nad dziejami Krakowa. Prace Jego z tego zakresu podobnie jak i coraz to liczniejsze prace dotyczące zagadnień ustrojowych Polski, to dzieła młodzięczego rozmachu i niezmordowanej pracy, a zarazem doskonałej metody, gruntowności i świetnego talentu historyka, prawnika i ekonomisty, czytającego w przeszłości jak w otwartej księdze. Nie był Kutrzeba zwolennikiem hipotez. Jego trzeźwy i realny umysł prowadził go przede wszystkim do stwierdzenia faktów mocno opartych na materiale dowodowym, dawania obrazu twardej choćby nieraz szarej rzeczywistości. W rezultacie jednak już te pierwsze Jego dzieła dziś po latach z górą czterdziestu, tchną równą świeżością jak przy ich powstaniu dając wyniki dotąd nie przedawnione i w ogromnej większości przez następców nie przewyższone. Do dzisiaj zaś stanowią one mogą dla każdego młodego badacza doskonały wzór i przykład pracy naukowej.

Przeważna część prac Kutrzeby dotyczącej dziejów Krakowa związana jest z zagadnieniami gospodarczymi i społecznymi dawnej stolicy Polski. Rzecz prosta, że jako Krakowianina pociągała go przeszłość mieszczaństwa oraz nietknięte jeszcze wówczas dzieje zarządu miasta, handlu i gospodarki. Nie znaczy to jednak, ażeby te prace miały tzw. regionalny charakter. Traktował w nich Kraków jako najlepszy, najbogaciej wyposażony w źródła sprawdzian rozwoju gospodarczego i społecznego miast polskich, szukał w swych pracach porównań z innymi miastami, zmierzał do odpowiedzi na pytania szersze, do oświetlenia wielkich społecznych i gospodarczych zagadnień Polski. Interesowało go jeszcze i tutaj jak rzeszłą przez całe życie, zagadnienie tego, co nazwano później życiem szarego człowieka. Chciał również, jak to wyraził we wstępie do jednych ze swych prac krakowskich, zobaczyć także wielkich ludzi w szarzyźnie dnia powszedniego. Rzeczy te dzisiaj wydają się być dla każdego, także i dla nie historyka oczywistością. Przed laty 50-ciu trzeba jednak było jeszcze przekonywać wielu, jeśli nie walczyć o potrzebę tak pojętej historiografii.

Prace jego nad przeszłością Krakowa związane są w przeważnej mierze z powstałym wówczas w r. 1897 Towarzystwem

Miłośnikow Historii i Zabytków Krakowa i jego wydawnictwami; prowadzone przez znakomitego mediewistę Stanisława Krzyżanowskiego otwarło ono łamy swych wydawnictw dla młodych pracowników naukowych, z których też w ciągu lat najbliższych wielu dzięki temu właśnie zdobyło sobie imię w nauce. „Rocznik Krakowski”, główne wydawnictwo naukowe tego Towarzystwa w trzech swoich pierwszych tomach pomieściło cztery większe rozprawy Kutrzeby, a nie brakło ich także i w latach późniejszych. Stałe też niemal do zgonu brał czynny udział w kierowaniu pracami tego Towarzystwa, dając swą pracą, radą i wielkim doświadczeniem wyraz swego przywiązania do rodzinnego miasta i jego przeszłości. Żywą również była jego działalność w „Polskim Towarzystwie historycznym” na łamach „Kwartalnika historycznego” a wreszcie jako prezesa Oddziału krakowskiego tegoż Towarzystwa (1932-1946), którego prace zorganizował, ożywił i podniósł na bardzo wysoki poziom naukowy.

Wśród licznych prac Kutrzeby dotyczących dziejów Krakowa, chciałbym tu wymienić przede wszystkim dwa o znaczeniu zasadniczym. Pierwsze to „Finanse Krakowa wieków średnich”, ogłoszone w r. 1900. Jest to dzieło podstawowe nie tylko dla dziejów Krakowa ale dla całego tego działu badań historyczno-gospodarczych w Polsce. Po raz pierwszy w literaturze historycznej polskiej, a i w obcej niewiele było podobnych przykładów — przedstawiona została na podstawie całego drukowanego i archiwalnego materiału skarbowość największego wówczas miasta Polski, z uwzględnieniem gospodarki innych miast Polski i to w sposób, w którym jasności cyfr i wywodów towarzyszyła charakterystyka życia społecznego i gospodarczego miasta. Nie tylko urzędowa gospodarka, ale całe życie miasta, właśnie to szare, codzienne życie, wystąpiło tu w żywym obrazie przed oczyma czytelnika. Drugim podobnym podstawowym dziełem jego i to nie tylko dla przeszłości Krakowa, jest „Handel Krakowa w wiekach średnich, na tle stosunków handlowych Polski” wydane w r. 1902-3. To nie tylko handel Krakowa, z wciągnięciem szerokiego materiału obcego został tu przedstawiony. Rzucił tu autor fundament pod nieopracowaną dotąd historię handlu polskiego w wiekach średnich, oznaczając drogi handlowe, kreśląc znaczenie prawa składu oraz organizację handlu a przede wszystkim politykę handlową Polski w późniejszym średniowieczu. Na tym tle rozwinięte dzieje handlu Krakowa wyjaśniły jak i dlaczego został on głównym centrum handlowym ówczesnej Polski, tworzącym bujne życie nie tylko gospodarcze ale i kulturalne. Zagadnienia te rozwinął jeszcze na szerszej platformie w „Dziejach handlu Polski ze wschodem” (1903), oraz w późniejszych pracach dotyczących handlu i kupiectwa krakowskiego oraz mieszczaństwa krakowskiego, jak np. w znakomitej rozprawie o „Historii rodziny Wierzyńków”, w której poza ustaleniem faktów biograficznych wskazał jeden z pierwszych na proces wzajemnego przenikania się warstwy rycerskiej i mieszczańskiej w tym czasie. Prace Kutrzeby dotyczące Krakowa a stanowiące do dzisiaj fundamenty historii miasta, czyniące autora jednego z głównych twórców naukowego poznania jego przeszłości, prace przekraczające 20 pozycji bibliograficznych, tyczą przeważnie tej epoki, w której w Krakowie przeżywał żywioł obcy. Kutrzeba badał te czasy przedmiotowo i bez uprzedzeń. Nie doszukiwał się ani nie narzucał pojęć obcych tej epoce. Niemniej jednak akcentował i wykazywał faktami, że rozrost i wielkość Krakowa, niosące w konsekwencji asymilację i to

szczerą asymilację obcych do polskości, ugruntowane były na warunkach polskiej ziemi, na bogactwie Polski oraz na polityce Polski i tych, którzy nią rządzą.

Jednocześnie z tymi pracami prowadził dwudziestokilkuletni wówczas badacz, gruntowne i głębokie studia nad dziejami prawa a przede wszystkim ustroju Polski. Dzisiaj, po pół wieku prawie, z trudnością nawet specjaliści unaoczniają sobie istotę wkładu Kutrzeby w rozwój nauki prawa polskiego, która tak jak dziś się przedstawia, jest w ogromnej mierze jego dziełem. Ogromne przestrzenie tego działu wiedzy, w szczególności ustrój wewnętrzny i funkcjonowanie aparatu państwowego, formowanie się ustroju i organizacji państwa były wówczas rzeczą bardzo mało albo tylko powierzchownie zbadaną. Nie umniejszając zasług jego poprzedników powiedzieć trzeba, że w ciągu lat kilkunastu wyłożonej pracy przez dziesiątki rozpraw monograficznych, referatów i artykułów a wreszcie liczne publikacje materiałów źródłowych, stworzył Kutrzeba naprawdę historię prawa polskiego. Już w r. 1901 wyszła pierwsza i to obszerna praca o „Sądach ziemskich i grodzkich w wiekach średnich”, najpierw w województwie krakowskim, potem w latach następnych i w innych ziemiach Polski. W r. 1903 wychodzą podstawowe Jego dzieła o „Starostach, ich początku i rozwoju w XIV wieku” oraz „Urzędach koronnych i nadwornych w Polsce”. Jednocześnie z tym mamy „Studia do historii sądownictwa w Polsce” (1901-3), prace o „Składzie sejmu polskiego 1493-1793” i „Dawnym zarządzie Wawelu” (1906), rozprawy dotyczące szosu, taryf celnych, mężobójstwa a wreszcie przywileju jedlneńskiego. Do najcenniejszych w tej dziedzinie prac należy opracowanie dawnego polskiego ceremoniału koronacyjnego i jego genezy i wydanie dotyczących materiałów w „Ordo coronandi regis Poloniae” (1910) oraz „Źródła do polskiego ceremoniału koronacyjnego” (1911)! Towarzyszy temu szereg wydawnictw źródłowych, publikujących obfite materiały archiwalne oraz nieocenione katalogi archiwum aktów grodzkich, ziemskich oraz zbiorów muzeum Czartoryskich.

Trudno wymienić te wszystkie rozliczne jeszcze prace Kutrzeby z tego zakresu. Stworzyły one gruntowną podstawę pod daną przezeń syntezę do której sformowania przystąpił już w toku posuniętych znacznie badań, monograficznych. Było nią klasyczne już dzisiaj dzieło 29-letniego wówczas uczonego „Historia ustroju Polski w zarysie”, którego pierwsze wydanie pojawiło się w r. 1905. Dzieło to stanowiło wypadek niepośledniego znaczenia w ówczesnym życiu naukowym Polski. Stanowiło go z dwu powodów: Wśród historyków i historyków prawa przeważała opinia, że należy się poświęcić przede wszystkim badaniom analitycznym, iż do tworzenia syntez jeszcze daleko. Danie takiej syntezy przez młodego uczonego wywołało niemałe poruszenie, żeby nie powiedzieć, podrażnienie w ówczesnym świecie naukowym. Obok tego synteza ta dawała cały szereg rozwiązań, które autor bądź w bieżących, bądź w niedługo potem ogłoszonych pracach umotywował, a które ogromnie daleko odbiegały od przyjętych wtedy pojęć historyczno-prawnych. Wszczęły się dyskusje i polemiki, w których wziął udział szereg najpoważniejszych uczonych starszego pokolenia, z największą powagą w tej mierze Oswaldem Balzerem na czele, który zajął stanowisko przeciwne wielu tezom Kutrzeby, w szczególności zasadniczej sprawie pojęcia królestwa polskiego. Młodsze pokolenie badaczy, na którego wynikach Kutrzeba w pewnej

mierze się opierał, broniło nowych poglądów. Można powiedzieć, że żadne z dzieł historycznych Polski od czasów dziejów Polski Bobrzyńskiego, starszego od Kutrzeby o jedno pokolenie, nie wywołało takiego zainteresowania nie tylko w świecie naukowym ale i w całym społeczeństwie polskim. Trzeba jednak stwierdzić zarazem, że żadne może inne dzieło po Bobrzyńskim nie wywarło tak wielkiego wpływu na kształtowanie się poglądów na przeszłość w całym narodzie, jak „Historia ustroju Polski”. Mimo polemik i sporów, w których ostały się istotne tezy Kutrzeby, dzieło to doczekawszy się licznych wydań, uzupełniane i przetwarzane w miarę rozwoju badań, przejmowane przez uczniów i podręczniki szkolne, stworzyło kategorie panujące dziś w opinii polskiej o tysiącletniej organizacji państwowej i społecznej Polski. W czasach zaborów, kiedy myśl państwowa polska z trudem torowała sobie drogę w świadomości szerokiego ogółu, dzieło to acz dotyczące przeszłości stało się jednym z głównych ośrodków krystalizacyjnych dla poglądów nie tylko naukowych, ale i politycznych nowego pokolenia Polaków. W tym leży wielka jego nie tylko naukowa, ale polityczna i historyczna wartość.

„Historia ustroju” Kutrzeby pomyślana początkowo jako historia ustroju Polski przedrozbiorowej, doczekała się z biegiem lat i dalszych badań, kontynuacji, zarówno przez uwzględnienie historii ustroju Litwy jak i opracowanie w dwu obszernych tomach historii ustroju ziem polskich w czasach porzbiorowych, wydanych w r. 1917. Stworzony został przez to łącznik pomiędzy dawną Rzeczpospolitą a nową, powstającą wtedy wśród wstrząsów pierwszej wojny światowej. Uzupełnieniem prac ustrojowych było „Dawne Polskie prawo sądowe” (r. 1921), a przede wszystkim podstawowa rzecz dla wykształcenia nie tylko prawnika ale i historyka, znakomicie i jasno ujęta „Historia źródeł dawnego prawa polskiego”, w dwu tomach, wydana w r. 1925-6.

Osobną a zaszczytną kartę zdobył sobie Stanisław Kutrzeba w badaniach dziejów Litwy. Wydane w r. 1914 zbiorowe dzieło „Polska i Litwa w dziejowym stosunku” przyniosło obszerną pracę, w istocie odrębne dzieło Kutrzeby o unii polsko-litewskiej: opracował on w nim stosunek prawnopaństwowy Polski i Litwy od aktu krewskiego do Unii Lubelskiej ustalając istotę i ewolucję tego stosunku od koncepcji inkorporacji z r. 1385 aż do koncepcji unii lubelskiej skończywszy. Pomnikowe wydawnictwo „Aktów Unii Polski z Litwą” zawierające cały materiał źródłowy do tej wielkiej sprawy, wydane w r. 1932, we współpracy z Władysławem Semkowiczem, wynikało z podjętych wówczas badań i było ich uzupełnieniem. Równoległe z tym prowadził on studia nad historią ustroju Litwy, których wynikiem było wydanie w r. 1914, tomu p.t. „Litwa”, jako drugiego tomu Historii ustroju Polski. Przedstawił w nim Kutrzeba ustrój Litwy od czasów najdawniejszych aż do konstytucji 3 maja, kończącej prawnie był odrębnego państwa litewskiego w Rzeczpospolitej. Dzieła Kutrzeby z zakresu ustroju Litwy stały się też podwaliną dalszych badań nad wewnętrznymi i ustrojowymi zagadnieniami Litwy. Na polu badań politycznych miała literatura polska już dawniej dość znaczny dorobek, sprawy natomiast ustrojowe, społeczne i gospodarcze były niemal że wyłącznym polem prac uczonych rosyjskich. I tutaj inicjatywa Jego wydała pozytywne wyniki.

Bieg wypadków politycznych, udział w rozstrzygnięciach

tyczących powstania i granic państwa polskiego, przede wszystkim zaś udział w charakterze rzeczoznawcy ze strony polskiej na kongresie 1919 r. skierował Kutrzebę ku zagadnieniom aktualnym; znalazło to swój wyraz, pominiawszy już szereg mniejszych rozpraw i artykułów, w dwutomowym dziele p.t. „Polskie prawo polityczne według traktatów” r. 1923, obok tego zaś w niezbyt wielkiej ale niezmiernie cennej pracy p.t. „Polska Odrodzona 1914-1921”; dzieło to rozszerzane chronologicznie z biegiem lat i wypadków doczekało się podobnie jak i „Historia ustroju Polski” szeregu wydań, a doprowadzone do końca pierwszego 10-letnia nowej Rzeczypospolitej stało się kontynuacją dawniejszych dzieł ustrojowych i podręczników, na którym opierały się poglądy ogólne na powstające państwo polskie, i jego organizację.

Stanisław Kutrzeba stał zawsze na stanowisku, że pierwszym celem nauki jest zbadanie i poznanie prawdy, drugim zaś podanie jej nie tylko światu uczonych ale i całemu narodowi. Głosił on nie tylko słowem ale i czynem zasadę, że nie można zamykać się w analitycznych, drobiazgowych badaniach, że trzeba stwarzać syntetyczne ujęcia wielkich całości, bo one decydują o wpływie nauki na kulturę narodową, na postawę narodu wobec kultury, one wiążą najszerze jego warstwy z rozwojem nauki, będącym głównym motorem postępu. Od niego też wyszła inicjatywa i realizacja szeregu tego rodzaju wydawnictw naukowych. Na pierwszym miejscu wśród nich należy zorganizowanie w Akademii Umiejętności, Komitetu wydawnictw śląskich i prowadzonych przezeń badań i wydawnictw ze wszystkich dziedzin wiedzy w odniesieniu do Śląska, przede wszystkim zaś dojście do skutku pomnikowych „Dziejów Śląska”, będące głównie jego zasługą. On też przeprowadził opracowanie obszernego dzieła zbiorowego o Gdańsku, które pod jego redakcją i przy jego współpracy ukazało się w r. 1927.

Zainteresowanie Jego i badania objęły prócz wyżej wspomnianych inne jeszcze gałęzie nauk historycznych i prawnych. Kiedy w 40-lecie jego pracy naukowej w r. 1938, które stało się wielkim aktem hołdu całego świata naukowego Polski a uznania obcych dla jego zasług i jego osoby, składano mu dwa okazałe tomy rozpraw naukowych jego uczniów i przyjaciół wraz z doktoratem honorowym filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, podkreślono u wstępu wydawnictwa słusznie szerokość i niezwykłą w polskich warunkach rozpiętość jego horyzontów naukowych: „prawnik i dziejopisarz — czytamy tam — myśliciel społeczny i publicysta, twórca dzieł konstrukcyjnych i wydawca źródeł, systematyk i analityk, mistrz nauk pomocniczych historii, inicjator i organizator, kierownik i czołowy przedstawiciel polskich poczynań naukowych, stworzył dzieł olbrzymi poczet, obejmując nimi najróżniejsze dziedziny wewnętrznego życia Polski: monarchicznej, możnowładczej, szlacheckiej i demokratycznej, jej rząd i sejm, urzędy i sądy, skarb i wojsko, handel i rzemiosło, idee i obyczaje.” Pięćset blisko pozycji obejmująca bibliografia jego jest tego najlepszym dowodem.

Poza pracą badawczą poświęcał się w swym życiu dwóm przede wszystkim instytucjom, które cieszyły się Jego wielkim umiłowaniem: Uniwersytetowi Jagiellońskiemu i Polskiej Akademii Umiejętności. Wzorowy profesor (habilitowany w r. 1902, otrzymał katedrę historii prawa polskiego w 1908 r.), porywający słuchaczy prelegent, poświęcał bardzo wiele pracy i troskliwości każdemu z uczniów, który tylko zainteresował się nauką. Twardy przeciwnik budowania nieugruntowanych hipotez, żądający od

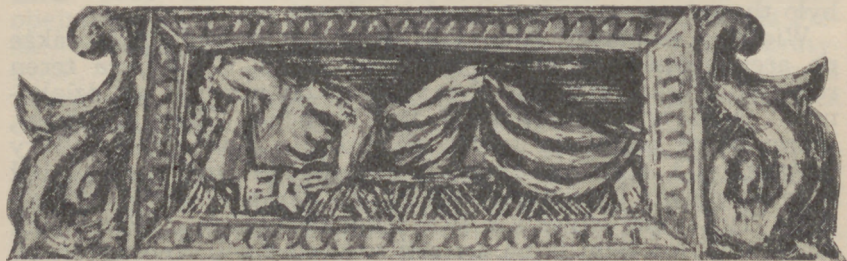
ucznia i badacza trzymanego się zawsze rzeczywistości, stworzył szkołę dającą gruntowną wiedzę i doskonałe przygotowanie metodyczne. W swoich rozprawach przepracował on niemal wszystkie działy dawnego prawa polskiego, które pod jego ręką z rysunku o zamglonych nieraz konturach przekształciło się w okazały obraz nęcący jasnością szczegółów i śmiałym ujęciem całości. Mógł też być w każdej dziedzinie znakomitym przewodnikiem dla ucznia i młodego badacza, mógł i potrafił dać nie tylko inicjatywę i zachętę ale także i właściwy kierunek. Był wymagający, ale zarazem umiał zapalić do nauki. Na czele uniwersytetu stanął on jako rektor w trudnym roku 1932-3, w którym ówczesny minister Jędrzejewicz dokonał znanego zamachu na autonomię szkół wyższych. Stanisław Kutrzeba w głębokim przekonaniu, że niezależność nauki jest jedną z głównych podstaw jej rozwoju i rozwoju kultury narodowej i że leży nie tylko w interesie nauki ale i w istotnym interesie państwa przez akcję przeprowadzoną na posterunku rektora, stał się jednym z głównych twórców ugruntowania tego przeświadczenia w społeczeństwie polskim; doprowadziło ono najpierw do ograniczenia pierwotnych rozmiarów zmian a niedługo potem do zrewidowania powziętych wówczas postanowień, skierowanych przeciw niezależności nauki i szkół akademickich.

Kilkadziesiąt lat pracy związało jego imię nierozłącznie z rozwojem i losami naszej naczelnej instytucji naukowej, Polskiej Akademii Umiejętności. Pracował w jej łonie jako członek od r. 1914, kierował zaś nią przez lat 20, najpierw jako sekretarz generalny w latach 1926-39, a od r. 1939 aż do zgonu jako jej prezes. Pracy Jego zawdzięcza Akademia zarówno ugruntowanie swej pozycji materialnej, przez zorganizowanie jej dochodów i świetne zagospodarowanie jej majątków, jak również ogromny rozmach poczynań naukowych. Byстрыm okiem ujmującym istotę rzeczy, umiał on wskazać na naczelne potrzeby nauki, umiał znaleźć odpowiednich ludzi i zorganizować pracę dla osiągnięcia jak najwyższych wyników. Autorytet jego był tak wielki, że pozwalał mu ściągnąć i nagiąć do wspólnej pracy nawet bardzo różnorodnie żywioły, pozwalał mu mówić obok słów uznania także i ostre nieraz ale zawsze sprawiedliwe słowa krytyki, prowadzące do utrzymania badań naukowych na jak najwyższym poziomie. Jemu to w przeważnej mierze zawdzięczała Akademia ogromne podniesienie swego autorytetu i powagi nauki w nowym państwie polskim, a także wywalczenie jej i nauce polskiej znakomitego stanowiska za granicą, zawdzięczała wreszcie rozwój badań zagranicznych, a zwłaszcza stacji w Rzymie i w Paryżu. Nauka obca nie szczędziła mu objawów uznania. Należał on też do pierwszych spomiędzy uczonych polskich, mających europejską sławę, dzieło jego było tłumaczone na szereg języków obcych.

Wiedza i autorytet, jaki sobie zdobył, zaprowadziły go także na arenę polityczną, na kongres paryski w r. 1919, na teren rokowań polsko-czeskich. Przez szereg lat rozwijał też działalność publicystyczną, głównie na łamach „Głosu Narodu”, któremu był najbliższy swymi poglądami. Zwolennik kultury romańskiej i bliskiego związku z narodami słowiańskimi był zdecydowanym wrogiem Niemców od zarania swojej działalności. Tuż przed wojną w r. 1937, ogłosił rozprawę o „Państwach totalnych”, w której jasno wyraził swój stosunek do ówczesnych Niemiec. Po zajęciu Krakowa przez Niemców, uwięziony i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen wraz

z resztą profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego przywiózł stamtąd zarodki śmiertelnej choroby. Niezlamany nieszczęściami stał się w latach okupacji ostoją oporu ducha polskiego i nauki polskiej przeciw Niemcom, organizując, krzepiąc i podtrzymując innych. Był dla Krakowa a i daleko poza Krakowem jednym z nielicznych wtedy w kraju, autorytetów moralnych. Po wyparciu wroga podjął energiczną pracę nad zorganizowaniem nauki polskiej i niezwłoczną kontynuacją dawnych prac. W pracy, w wysiłku własnym i w realnym poglądzie na sytuację, w zjednoczeniu do pracy wszystkich sił widział główny zadatek lepszej przyszłości. W imię tego, mimo nadwątlonego zdrowia, pospieszył w czerwcu ubiegłego roku do Moskwy, przyczyniając się tam poważnie do pomyślnego zakończenia rokowań o stworzenie Rządu Jedności Narodowej. Wysiłek ten jednak był ponad jego zdrowie, stargane pracą i przejściami lat ostatnich. Powaliła go wówczas choroba, z której się już nie podźwignął.

Przejęty szczerym duchem obywatelskim i społecznym rozwijał zwłaszcza w momentach krytycznych na tym polu żywą działalność myśląc zawsze o całości i jej potrzebach. Wszystko co osiągnął w nauce i narodzie, w swoich i u obcych, zawdzięczał swemu charakterowi, swemu talentowi i swej pracy. One to i wyłącznie one, a nie koneksje i wpływy postronne, wyniosły go na szczyty. Swym życiem i swym działaniem był on już u wstępu swych prac zapowiedzią nowego człowieka w Polsce, która dziś pochyliła się nad jego mogiłą z żalem najszczerzym i czcią głęboką. Zgasł wielki Uczony polski i wielki Obywatel Rzeczypospolitej.



Telephon:

GER. 6947



HONG KONG CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na brązowej linii.

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń,
Advertising Offices, The Carlton Berry
Co., Grand Buildings, Trafalgar Square,
London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

PRZE

KROJ

ILUSTROWANY

WIELOBARWNY

TYGODNIK

LITERACKI

REDAKCJA: KRAKÓW, STAROWIŚLNA Nr. 4
Tel. 545,60-62

WYDAWCA: „CZYTELNIA”

POLISH ARTISTS

IN GREAT BRITAIN

with an essay on POLISH ART by

C. POZNAŃSKI

5/6

Published by „NOWA POLSKA” LONDON W. 1

3/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and
printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London,
factory. — Tel.: MUSEum 1409.

3/-

P O L S K I TYGODNIK LEKARSKI

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ulica Chocimska 24

Konto P. K. O.: Warszawa I. 654

:: WYDAWCA: Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy ::

Redaktor: prof. dr med. Ludwik Paszkiewicz

Sekretarz Red.: dr med. J. Mockało.

Komitet Redakcyjny Ścisły:

prof. dr med. T. Butkiewicz,

prof. dr med. L. Hirsfeld (Wrocław),

prof. dr med. K. Jonscher (Poznań),

prof. dr med. M. Kacprzak,

prof. dr med. T. Kielanowski (Lublin),

prof. dr med. W. Mozolowski (Gdańsk),

prof. dr med. W. Orłowski,

doc. dr med. E. Reicher,

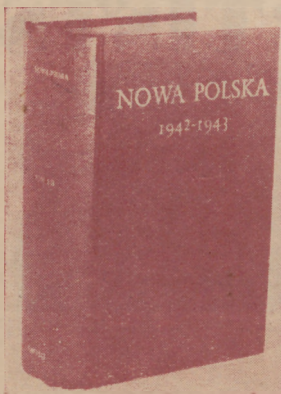
prof. dr med. M. Semrau-Siemianowski (Łódź),

prof. dr med. W. Szenajch,

prof. dr med. Fr. Walter (Kraków).

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY DO NABYCIA W ADMINISTRACJI
„NOWEJ POLSKI”

..... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
PRZY DŹWIĘKACH PŁYT DECCA



REPREZENTACJA „NOWEJ POLSKI”
W AMERYCE

25 WEST 45th STREET, NEW YORK 19. N.Y.

posiada na składzie

52 tomy oprawne „Nowej Polski”

za 1943 rok à £ 1.15.0

33 tomy oprawne za 1944 rok à £ 2.0.0

które czytelnicy obu Ameryk i Kanady mogą nabywać
dla wygody osobistej w Oddziale Nowojorskim